Nr. 221. Lwów — Środa dnia 25 Września. Rok 1901.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: Wt. | św. Kleofasa M. | Awtemona
Jutro: Śr. | św. Cypryana | Kornyła Sot.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 5 m. 57
Zachód „ „ 5 m. 46

Długość dnia godzin 11 minut 49
Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Z powodu zbliżającego się kwartału upraszamy o wczesne odnawianie prenumeraty. Wynosi ona:

Miesięcznie	*2 K.*	*20 h.*
Kwartalnie	*6 „*	*60 „*
Półrocznie	*13 „*	*20 „*
Rocznie	*26 „*	*40 „*

Za zmianę adresu dopłaca się 40 h.
Administracya Przeglądu.

Wojna boerska.

Dwa lata już mijają od chwili, w której zbrojne zastępy Boerów, rozpoczynając kroki nieprzyjacielskie, wkroczyły do kolonii angielskiej Natalu, a mimo to krew się leje w Afryce południowej i nie widać końca tego smutnego zatargu. „Przechadzka wojskowa“ do Pretoryi zamieniła się w straszliwą i uporczywą wojnę, pochłaniającą wszelkie siły potężnej Anglii; skrępowała ona swobodę ruchów tego państwa na wszystkich innych widowniach zawikłań międzynarodowych, a zagraża walczącym w obronie swej niepodległości Boerom zupełną zagładą. Oczywiście, że jednocześnie ze zwiększeniem się wojsk angielskich w Afryce południowej wojna przybrać musiała inny charakter. Boerowie, którzy zrazu zwyciężali i w otwartem polu atakowali Anglików, a nawet oblegali ich twierdze, później, wobec olbrzymiej liczebnej przewagi przeciwnika, nie mogli się już odważyć na wielkie operacye wojenne, więc ograniczyli się na wojnie podjazdowej, na niszczeniu komunikacyj nieprzyjacielskich, burzeniu kolei żelaznych, napadaniu znienacka na drobne oddziały Anglików, na zabieraniu im żywności i amunicyi.

Ta wojna podjazdowa ciągnie się już od kilkunastu miesięcy, a wszelkie wysiłki Anglików (rozporządzających dzisiaj w Afryce południowej co najmniej dziesięćkrotną przewagą) ku uporaniu się z luźnymi oddziałami przeciwników chybiają celu i pomimo wszelkich biuletynów zwycięskich, ogłaszanych codziennie niemal przez dzienniki angielskie, Boerowie nietylko nie zamyślają zaniechać swego oporu, lecz owszem, czynią coraz większe postępy, przenoszą nawet wojnę do angielskiej kolonii Przylądka. W samych zaś zabranych już urzędownie przez Anglię dwóch rzeczachpospolitych południowo-afrykańskich jedynie najważniejsze miasta i linie kolejowe znajdują się w rękach Anglików, niepokojonych bezustannie przez Boerów, pojawiających się niespodziewanie i znikających szybko, w razie silniejszego oporu,

Zwątpiwszy w możliwość pobicia nieprzyjaciela siłą oręża, naczelny wódz wojsk angielskich lord Kitchener chwycił się innego środka: ogłosił proklamacyę, zagrażającą Boerom, którzy do 15 września b. r. nie złożą broni, wieczystem wygnaniem z kraju i utratą majątku. Sam lord Kitchener nie łudził się chyba co do skuteczności tej odezwy, ale dzienniki londyńskie spodziewały się po niej cudów, a w każdym razie niechybnego zakończenia wojny.

Było to jedno złudzenie więcej w tej tak bogatej w złudzenia dla Anglików wojnie. Proklamacya lorda Kitchenera najmniejszego na Boerach nie wywarła wrażenia. Nie mają oni przecież nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Nie przeraziła ich groźba, że począwszy od 15 września, Anglicy uważać już nie będą oddziałów partyzanckich za stronę wojującą, lecz stosować wobec nich zaczną z całą srogością prawo wojenne. Jak gdyby srogość ta dała się jeszcze zwiększyć! Cóż wreszcie obchodzić może Boerów, że proklamacya lorda Kitchenera pozbawiła ich urzędownie majątku, którego faktycznie i tak już nie posiadają. Zginą oni albo z bronią w ręku, a wówczas zbyteczny im będzie majątek, albo też wywalczą niepodległość swej ojczyzny, a wtedy proklamacya angielskiego wodza stanie się pustym dźwiękiem słów.

Wodzowie boerscy: De-Wet, Botha i Steyn, ogłosili swym żołnierzom, że każdy z nich, jeżeli chce, może zaniechać walki i poddać się Anglikom w terminie, danym przez lorda Kitchenera: skorzystało z tego pozwolenia tylko trzystu. Reszta — a jest ich w różnych oddziałach kilkanaście tysięcy — poprzysięgła walczyć do ostatka. Wzruszające to poświęcenie! Poruszeni niem Boerzy, otaczający Krügera, udali się do stałego trybunału międzynarodowych sądów polubownych w Hadze z prośbą o wezwanie Anglii na sąd rozjemczy. Dotąd na tę prośbę nie ma odpowiedzi.

Proklamacya Kitchenera, która walecznych obrońców ojczyzny boerskiej nakazuje traktować od 15 b. m. jako rozbójników, nie sprzeciwia się zasadom prawa narodów wobec faktycznego podboju Transwaalu i Oranii przez wojska angielskie i wobec ogłoszenia aneksyj tych krajów; może jednak wywołać niepożądane następstwa w samej kolonii Przylądka Dobrej Nadziei. Już dzisiaj w tej kolonii panuje stan oblężenia. Konstytucya zawieszona, podatki ściąga władza wojskowa, lord Millner sprawuje niejako władzę dyktatora. Sytuacya pogorszy się z chwilą, gdy władze angielskie zabiorą się do wykonywania groźb, zawartych w proklamacyi lorda Kitchenera. Ustanowienie sądów wojennych, konfiskata dóbr osób prywatnych, krwawe wyroki, rozkiełznanie namiętności, tryumf prawa silniejszego, to wszystko wniesie Anglia na początku XX wieku do krajów, w których dawniej panowały szczęście i spokój. I nikt nie potrafi przewidzieć, kiedy nareszcie rzeczy powrócą do normalnego stanu, a zdrowa polityka kolonialna, polityka federacyi i samorządu wewnętrznego, zastąpi surowy system represyi wojskowej,

Sprawa Transwaalu i Oranii jest bezpowrotnie przegrana i niezależność tych dwóch republik afrykańskich należy już do historyi. Jak nadzieje na interwencyę mocarstw europejskich spełzły na niczem, tak i apelacya do postanowień konferencyj pokojowych w Hadze nie odniesie żadnego skutku. Europa raz jeszcze dowiodła, że jedyną dźwignią w stosunkach międzynarodowych jest prawo silniejszego i troska wyłączna o własne interesy, z zupełnem pominięciem idei sprawiedliwości i moralności dziejowej.

Lecz jakaż z tego dla Anglii korzyść? Kiedy chybił cel proklamacyi Kitchenera, postanowił on jeszcze raz spróbować układów; zorganizował więc „misyę pokojową“. Z taką misyą udali się pastorowie: Murray i Botha do głównych dowódzców: Steyna i De-Weta; spełzła ona na niczem. Wysłańcy wrócili do Kronsztadu z oznajmieniem, że De-Wet i Steyn zdecydowani są walczyć do ostatniej kropli krwi, i że, co więcej, przekonani są o ostatecznem zwycięstwie sprawy, której bronią. Wprawdzie znaczna część ludności boerskiej pragnie pokoju, ale wpływ Steyna i De-Weta jest tak znaczny, że wszyscy ulegają ich zdaniu. Słowo De-Weta jest dla Boerów rozkazem, któremu się oprzeć nie mogą. Gdyby nawet Botha złożył broń w Transwaalu, De-Wet i Steyn będą w dalszym ciągu prowadzili wojnę partyzancką w rzeczypospolitej orańskiej, wraz z tymi, którzy już nic nie mają do stracenia.

Okazuje się przeto, że na wojnie proklamacye nie są w stanie zastąpić zwycięstwa. Już w zeszłym roku w miesiącu wrześniu wojnę południowo-afrykańską uważano powszechnie w Anglii prawie za skończoną. Od tego czasu minęło dwanaście miesięcy, i ogólna sytuacya w Transwaalu, Oranii i na Przylądku Dobrej Nadziei nie polepszyła się zgoła. Tymczasem wojna kosztuje Anglię co najmniej trzy miliardy franków rocznie (trwa już 23 miesiące), a dzięki ciągłym pożyczkom, budżet Anglii cofnął się o 25 lat wstecz. Publiczne walory angielskie spadły przez ten czas o 25%, a kredyt handlowy jest zagrożony. Skutki wojny w Transwaalu odczuwa dotkliwie rynek pieniężny całego świata, i nikt nie może przewidzieć, kiedy się skończy przesilenie ekonomiczne, przez które dzisiaj przechodzi Europa.

Przygrywki parlamentarne.

Piszą nam z Wiednia, 23 września:

Na dziś przypada druga rocznica dnia, w którym hr. Franciszek Thun podał się do dymisyi. Nikt byłemu prezesowi gabinetu nie odmówi najuczciwszych zamiarów. Sam też fakt jego dymisyi świadczy, że wyrządzali mu krzywdę ci, którzy go posądzali o gotowość pogwałcenia konstytucyi, byle się utrzymał u steru państwa. Owszem, hr. Thun dowiódł, że urząd uważał zawsze jako ciężki obowiązek, nie zaś jako sposobność dogodzenia osobistym zachciankom, ambicyi i żądzy władzy. Z drugiej strony, rozważając bilans ostatnich dwóch lat, niepodobna nie uznać, że ogólne położenie znacznie się poprawiło. W owych dniach agonii gabinetu hr. Thuna, we wrześniu 1899 r., nikt nie wątpił o tem, że jeżeli Rada państwa sic stantibus rebus zgromadzi się w październiku lub listopadzie, nie tylko znowu wszelka prawidłowa czynność Izby poselskiej będzie niemożliwą, ale nawet, po raz pierwszy od początku swego istnienia, delegacye wspólne nie dopiszą. Groziło zatem przeniesienie anarchii wewnętrznej na stosunki międzynarodowe. Dziś nie tylko ta groźba całkiem zniknęła z widowni, ale nadto przewidują powszechnie, że Rada państwa w przyszłej sesyi zimowej będzie funkcyonowała równie spokojnie i prawidłowo, jak w ostatniej, wiosennej. Prawda, ta naprawa stosunków parlamentarnych wymagała upadku trzech gabinetów (Thun, Clary, Wittek) i ponownych wyborów Izby poselskiej. Jednakże nawet ta wysoka cena nie wydaje się wygórowaną, skoro nie dostawało żadnego innego środka przywrócenia normalnych stosunków konstytucyjnych.

Pessymiści napomykają czasem, że gabinet teraźniejszy nietylko zawdzięcza swe sukcesa zniesieniu rozporządzeń językowych, czego domagały się wszystkie stronnictwa niemieckie, nie wyjmując katolicko-konserwatywnego, lecz pozostaje jakoby w tajnym aliansie z frakcyą radykalną — wszechniemiecką. Jest to jednak optyczne złudzenie. W polityce zdarza się często, że radykalne stronnictwa w swej gorączce i w swym uporze teoretycznym, stają się po prostu narzędziem w ręku zręcznego męża stanu. I tak nie ulega wątpliwości, że swą nibyto wszechniemiecką, szowinistyczną opozycyą przeciwko podziałowi Tyrolu i Czech, stronnictwo Schoenerera i Wolfa pośrednio i zapewne wbrew swej woli wspiera politykę p. Koerbera, zmierzającą do zachowania status quo konstytucyjnego. To, do czego nibyto dążą wszechniemcy: przywrócenie prawno-politycznego związku staro-austryackich prowincyi z cesarstwem niemieckiem, — jest muzyką przyszłości bez wszelkiego aktualnego znaczenia. O to na teraz nie potrzebuje się troszczyć żaden kierujący mąż stanu w Austryi. Natomiast podział Tyrolu, Czech itd., to są kwestye bardzo aktualne, które od dawna stoją na porządku dziennym i każdej chwili mogą stanowczo oddziałać na obrady w Izbie poselskiej. W tej zatem kwestyi akcya wszechniemców, paraliżując akcyę Pradego, Funkego itd. niewątpliwie ułatwia zadanie rządu konserwatywnego i znacznie zmniejsza jego kłopoty.

Także jako straszydło obstrukcyjne frakcya wszechniemiecka p. Koerberowi wyświadcza przysługę wobec Czechów. To wszystko dowodzi tylko, że prezes gabinetu korzysta z niedorzeczności i teoretycznego fanatyzmu stronnictwa wszechniemieckiego, ale nie usprawiedliwia wcale podejrzenia tajnego aliansu, który z pewnością nie istnieje. Rzecz ma się tak, że przed dwoma laty pp. Wolf i Schoenerer maszerowali na czele niemal całego parlamentarnego obozu niemieckiego, gdy teraz, chociaż liczą 21 zamiast 6-ciu towarzyszy, stanowią izolowaną frakcyę skrajną, która osłabia pozycyę niemieckiej lewicy wobec gabinetu. Dziejopisarz francuski zauważył: „Le signe des veritables hommes d'état est que les obstacles même leur servent pour arriver à leurs fins.“ (Prawdziwi mężowie stanu odznaczają się tem, że same przeszkody pomagają im do osiągnięcia celu.) Dla p. Koerbera tromtadracya wszechniemiecka jest taką — przeszkodą, która mu ułatwia zadanie!

To też obecnie nie potrzeba szczególnych wysiłków, aby przygotować normalny przebieg zimowej sesyi Rady państwa. Jak przewidywaliśmy przed tygodniem, p. Koerber nie rozpoczął wcale rokowań z przywódzcami klubów parlamentarnych. Młodoczeskich gości: Pacaka, Strańskiego, zbył uwagą, że dopiero po wyborach nastanie chwila stosowna do konferencyi. Przywódzcy niemieccy, jak się zdaje, dotąd nie zawitali do pałacu przy Judenplatzu. Natomiast p. Koerber zaprosił Ekso. Jaworskiego. Zupełnie słusznie. Bo nietylko Koło polskie tworzy najliczniejszy moralnie wzmocniony ostatnimi wyborami sejmowymi obóz parlamentarny, a zatem rokowania gabinetu w sprawie przyszłej sesyi powinny się rozpocząć od Koła, ale nadto czcigodny jego prezes swą wytrawnością polityczną, swym zdrowym realizmem i swą gorliwością dla dobra państwa i kraju, jest niezawodnie najpoważniejszym doradzcą dla każdego rządu, który ma na oku przedewszystkiem ogólne dobro. W każdym razie, przez dwa lata po upadku hr. Thuna, nie znać żadnego osłabienia należytego wpływu Koła polskiego. Uwydatnia się tylko coraz dobitniej fakt, że wtedy, wyciągając innym kasztany z ognia, Koło polskie narażało się na najboleśniejsze przykrości, gdy teraz nietylko nie stanowi.... piątego koła u wozu, nietylko zajmuje bardziej wpływowe stanowisko w Radzie państwa, niż wtedy, gdy brało na siebie odpowiedzialność za cudze błędy, ale też może skuteczniej bronić interesów kraju.

Dziwne zdarzenie!

Dziś rano otrzymaliśmy następujący telegram:

Rominten 24 września. Cesarz niemiecki udał się wczoraj po południu w mundurze swego rosyjskiego pułku grenadyerów do rosyjskiego miasteczka nadgranicznego Wystyten, które 26 sierpnia br. nawiedził wielki pożar. Cesarz przemówił do zgromadzonej ludności, oznajmiając jej, że car słyszał o nieszczęściu miasteczka i przez usta niemieckiego cesarza wyraża im swoje współczucie. „Car przezemnie — rzekł cesarz — przesyła wam 5000 rubli. Z tego widzicie, że dobre jego serce współczuje z jego poddanymi, chociażby oni mieszkali najdalej od jego stolicy. Wdzięczności waszej dajcie teraz wyraz słowami: *„da zdrastwujet jewo weliczestwo gosudar imperator Nikołaj II! Hurra!“*

Wysłano ten telegram z wioski Rominten, leżącej w Prusach wschodnich, nieopodal granicy Królestwa polskiego. Miasteczko Wystyten leży w tem Królestwie, w dawnem Augustowskiem, które od r. 1864 jest podzielone administracyjnie w ten sposób, że część jego tworzy gubernię suwalską. Są tam miejscowowości z dawien dawna nawskróś żmudzkie; do takich właśnie miejscowości należy miasteczko Wystyten, znajdujące się niedaleko granicy pruskiej. Składa się ono ze Żmudzinów i ubogich żydów, którzy razem tworzą gromadę miejską, liczącą 2250 osób. Miasteczko to spaliło się w sierpniu, co nie jest żadnym nadzwyczajnym wypadkiem, ponieważ wiadomo, że wszystkie nasze miasteczka bardzo często się palą. W miesiąc po tym wypadku, a w kilka dni po zjeździe pod Gdańskiem, zjawia się niespodzianie w tem miasteczku cesarz niemiecki, bez żadnych przygotowań i bez orszaku; na granicy nikt go nie wita; w miasteczku zwołuje ludność, przemawia do niej, zapewne po niemiecku, kończy rosyjskim okrzykiem: „Niech żyje jego cesarska mość Mikołaj II! Hurra!“ i daje na pogorzelców 5000 rubli, a oświadcza przytem, że ten datek nie od niego pochodzi, ale, że otrzymał go od rosyjskiego cesarza właśnie dla tych pogorzelców.

Zaiste, każdy przyzna, że tego jeszcze nie bywało! Niepodobna przecież przypuścić, że osobiście pod Gdańskiem, albo też później, listownie, car dał Wilhelmowi II-mu 5000 rubli, aby je zawiózł pogorzelcom wystyteńskim. Widocznie tedy cesarz Wilhelm wyjął te pieniądze z własnej kieszeni i tylko skromnie schował swą ofiarność za ofiarnością rosyjskiego cesarza. Skądże mu jednak w takim razie przyszło do głowy wysnuwać z tego wniosek, że car pamięta o najdalszych swoich poddanych? Jeżeli car nie dał tych pieniędzy Wilhelmowi II-mu, to oczywiście o poddanych swoich nie pamiętał, a przemowa niemieckiego cesarza była mu w takim razie jakby wskazówką, że powinien był pamiętać. Słowem, wszystko to jest bardzo dziwne, niebywałe w stosunkach międzynarodowych i niepojęte.

Z tego wypadku miejscowa ludność gotowa sobie wyobrazić, że cesarz niemiecki ma jakieś specyalne prawa do zajmowania się jej położeniem, nie sądzimy zaś, żeby to rządowi rosyjskiemu sprawiło wielką przyjemność. Cesarz Wilhelm wystąpił w tym wypadku albo w roli sekretarza carskiego, albo też w roli zastępcy jego w państwie rosyjskiem, gdy car bawi za granicą, — a to znowu jest takie dziwne, że w Petersburgu z pewnością zrobią ogromne oczy.

Również ostudzi ten epizod zapał Francuzów dla cara, którego takim alter ego jest cesarz niemiecki. Może taki właśnie był cel wycieczki Wilhelma II?

Głos rozumny.

Z powodu procesu gimnazistów polskich w Toruniu, wybitny publicysta niemiecki, von Gerlach, nawiasem mówiąc, kuzyn obecnego ministra skarbu, Rheinbabena, pisze w organie swym *Die Welt am Montag* pomiędzy innemi, co następuje:

„Bankructwo dzisiejszej polityki antipolskiej jest oczywiste. Polskość nie stała się słabszą, tylko silniejszą. Z powagi (der sittliche Ernst), która cechowała występowanie oskarżonych w toruńskim procesie, można wnosić, że dojrzewająca generacya wykształconych Polaków będzie bardzo poważnym nieprzyjacielem, jeżeli się ich będzie traktowało jako nieprzyjaciół. Tych młodzieńców, którzy w swym związku nie tolerowali pijaków, tylko w wolnych chwilach zajmowali się historyą i literaturą, nie można istotnie porównywać z niemieckimi uczniami klas wyższych, łączącymi się w pijackie związki, o czem wspomina *Tägliche Rundschau*. Ale to doprawdy nie przemawia przeciw polskim uczniom.

„Gdyby oficyalna polityka antipolska była odniosła sukces, możnaby jeszcze inaczej się na to zapatrywać. Ostatecznie decyduje w polityce sukces. Gdyby niemczyzna na wschodzie od lat siedmiu zwycięsko postępowała

---

71)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

W dzień jeszcze warta taka to i zabawa i rozrywka pewna. Ludzie się kręcą dookoła rozmaici — jest na co spojrzeć. A teraz choć oko wykol!... Na dobitek jutro robota nie lada z samego rana. Na popołudnie kapitan zapowiedział przegląd lederwerków i patrontaszy. Trzy godziny czyszczenia co najmniej!... Cesarza spodziewają się! Et! Jemu to dobrze pewnie... Śpi sobie i ani mu w głowie jeszcze przyjeżdżać, a tu żołnierzy już zaczynają mordować przeglądami.

Gdzieś w załamach ulic rozległ się przyśpieszony tętent.

Pewnie sztafeta do którego marszałka. Ci biedacy w konnicy, także psią służbę mają! Na taki mróz cwałować pustkowiem! Ha! Bodaj to u nas w Dordogne!... Spokojnie, ciepło... jasno...

Tętent przybliżał się coraz szybciej.

Żołnierz poruszył się. Na zakręcie ulicy, pod kolumną Zygmunta, dostrzegł gromadkę jeźdźców.

— Patrol pewnie! — rzekł do siebie i znów podparł się na karabinie.

Jeźdźcy tymczasem zbliżali się do odwachu. Żołnierz patrzył ku nim obojętnie. Lecz w tem drgnął z lekka i mocniej nacisnął karabin. Czyżby mu się w oczach ćmiło?...

Pierwszy z jeźdźców zeskoczył przed baryerą odwachu i postąpił śmiało naprzód.

La Rosowi wszystka krew uderzyła do głowy. To on był! Cesarz! Mylić się nie mógł. Przecież widział go raz...

Żołnierz spojrzał ku alarmującemu odwach dzwonowi... był na przeciwległej stronie, za nim doń się zbliży, cesarz go już może minąć! La Rose nie namyślał się dłużej. Chwycił za karabin, skierował lufę ku górze, wypalił i stanął wyprostowany, salutując cesarza...

Z kordegardy wysypała się kompania żołnierzy z kapitanem na czele i wyciągnęła się w dwie linie przed budynkiem.

Kapitan już chciał zakrzyknąć o powód alarmu, gdy posłyszał donośny, stalowy głos:

— Jak się macie — dzieci!...

— *Vive l'empereur!* — ryknęli żołnierze.

— Kto komenderuje!?...

— Kapitan Hulot! Druga kompania trzydziesty dziewiąty pułk woltyżerów korpusu marszałka Davoust! — zaraportował kapitan.

— Kto trzymał wartę?!...

Szyldwachowi pot zimny wystąpił na czoło.

— Szeregowiec... La Rose!...

— Zmień go kapitanie... bo jest kapralem!

Napoleon przeszedł przed frontem odwachu i zakomenderował:

— Na lewo zwrot... w tył... marsz!...

Kompania zawróciła do kordegardy. Napoleon wszedł za nią i rozsiadł się na stołku.

— Wody mi dajcie!...

Stary sierżant skoczył szukać naczynia, lecz Bonaparte odgadł zakłopotanie jego, bo rzucił ostro:

— Hej! Duquenne! W manierce... w manierce!...

Sierżant naczerpał i podał cesarzowi. Staremu ręce się trzęsły ze wzruszenia... cesarz pamiętał go... znał go po imieniu!...

Szczęście!...

Napoleon nie zwrócił uwagi na wrażenie, które wywarł, wypił wodę ze smakiem, zaczem skinął na stojącego już za nim mameluka.

— Zawołaj mi tych!... Wiesz!...

Rustan wybiegł i wrócił natychmiast, prowadząc Żubra i Żubrową.

— Zameldujecie się jutro marszałkowi Muratowi!... A... ten wasz porucznik także!...

— Według rozkazu!..

— Ale, *madame*... może byś mi sprzedała tę swoją zaimprowizowaną chustkę?...

— Najjaśniejszy panie — nie mogę sprzedać!...

— Dla czego?!...

— Bo starzyzną nie handluję, a juści tej płachty aby sobie na ziąb pożyczyłam!...

— Wręczysz ją marszałkowi!...

— Według rozkazu!...

Napoleon odwrócił się do kapitana.

W kilka chwil później, cesarz Francuzów wszedł do sali marmurowej na Zamku, prowadzony przez złudzonego burgrabiego. Czterdziestu królów i królowych polskich spojrzało na Bonapartego.

Warszawa spała, marząc o czekających ją uroczystościach. Napoleon tymczasem odbył już swój wjazd tryumfalny!...

IX.

Żubr z Żubrową, przenocowawszy w zajeździe na Zakroczymskiej ulicy, skoro świt, jęli dopytywać się żołnierzy o trzynasty pułk strzelców, chcąc się czegoś o Floryanie dowiedzieć. Mimo zaszczytu, który ich czekał niewątpliwie, dzięki przygodzie pod Błoniem, skwaszeni byli oboje. Misya ich spełzła na niczem. Śladu nawet pani Dziewanowskiej odnaleść nie mogli. Zawierucha wojenna przecięła wszystkie nici, po których dojść można byłoby prawdy.

Nie pozostawało im nic innego, jak wracać do Gotartowskiego. Lęk ich zdejmował, bo z czemże staną teraz przed ukochanym „porucznikiem“. Markietanka głowiła się nad wynalezieniem sposobu choćby dowiedzenia się czegoś, choćby miejsca dokąd „panią kapitanowę“ uprowadzili Prusacy — naprożno. W rozgardyaszu a popłochu, który zapanował w Warszawie na wieść, że Napoleon w nocy przyjechał, nie można się było z nikim rozmówić należycie. Zresztą i tak przecież prawie całe miasto schodzili, za Wisłę się przekradali i także nic nie wskórali. Tyle, że ten i ów potwierdzał lub przekręcał szczegóły, znane Żubrom z opowiadań sąsiadów pani Dziewanowskiej na Daniłłowiczowskiej.

Kręcąc się tu i owdzie, Żubrowie natrafili na znajomych strzelców kompanii Deschampa i od nich z przerażeniem się dowiedzieli, że Gotartowski przybył do Warszawy razem z awangardą i tejże nocy przepadł bez wieści. W głowie im się pomieścić nie mogło, gdzie mógł się „porucznik“ zaniewieruszyć. Miasto spokojne, nieprzyjaciela ani śladu, o napaści żadnej słychu nie było a znów Gotartowski był służbistą nie lada!... Musiała więc go inna spotkać przygoda!...

Południe nadchodziło. Żubrowie wspomnieli na rozkaz cesarski i śród tłumów, jakie na ulicy wyległy, jęli się przeciskać do kwatery marszałka Murata. Tam taką ciżbę znaleźli oficerów, ordynansów a panów rozmaitych, że marzyć nie mogli o zameldowaniu się adjutantowi księcia, ile, że ten ostatni ledwie co był z Zamku powrócił od cesarza i, jak powiadano sobie w poczekalni, znów miał tam wracać natychmiast.

Żubrowie stali w kącie smutni, zasępieni. Markietanka mruczała pod nosem, klęła z cicha a musztrowała męża.

— Cóżeś się tak zgarbił! Nie gap że się! Na licha tu stać będziemy!!... Myślisz!! Tfy!!... Doczekał się człowiek!!... Zdechnąć lepiej odrazu!... Co tam nam po legii!!...

— Jasia — nie gadaj!...

— Skrzecz sroko, skrzecz!... A ja ci mówię... że jak nie ma porucznika... nie ma kapitanowej, to... to... bierz licho!...

W poczekalni ukazał się adjutant Murata, błyszczący od złotem szamerowanego mundura, z papierem w ręku i jął wymieniać nazwiska tych, którym marszałek posłuchania miał udzielić. Lista była krótka bardzo, ile, że książę Bergu był zajęty.

— Pułkownik Deschamp! — czytał głośno adjutant. — Kapitan Gotartowski!...

Żubrowa rozepchnęła gwałtownie tłum otaczający adjutanta i zawołała:

— Panie poruczniku: Właśnie kapitan Gotartowski przepadł... zaginął, ani śladu!...

— To się okaże! — przerwał ostro adjutant.

— Kiedy bo...

— Nie przeszkadzać!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

naprzód, mówiliśmy tak: używane tu środki nie są co prawda piękne, ale wielki cel usprawiedliwia je. I wojna nie jest pięknym środkiem, mimo to w danych warunkach jest pożyteczną.

„Ale polityka walki przeciw Polakom osiągnęła, niestety, wręcz przeciwne skutki, aniżeli zamierzono. Ona wzmocniła nie niemczyznę, tylko polskość. To musiało tak się stać. Naród z silnem poczuciem narodowem, liczący miliony, stanowiący większość w licznych okręgach, zjednoczony jednym węzłem religijnym, i posiadający silne oparcie w milionach swoich współplemieńców zagranicą, nie pozwoli się wynarodowić. Jeżeli Madziarzy, mimo swej najbrutalniejszej polityki ucisku, nie uporali się z odosobnionym narodowo ćwierćmilionem siedmiogrodzkich Sasów, jeżeli przez obostrzenie swej polityki ucisku doprowadzili tylko do tego, że wzgórze radykalne stronnictwo „zielonych" Sasów, to tem mniej się to uda z milionami naszych Polaków.

„W interesie ogólnej kultury (?) i w niemiecko-narodowym interesie byłoby oczywiście o wiele lepiej, gdyby Poznańskie, Prusy Zachodnie i Górny Szląsk zamieszkane były przez Germanów, zamiast przez Polaków. Ale tak nie jest i nie można tego w żaden sposób osiągnąć. Musimy się z faktem słowiańskiej ludności starać wedle możności pogodzić.

„Wedle możności, to znaczy podług naszego zdania, starając się z Polaków, których żadną miarą i z pomocą żadnej siły nie zamienimy na Niemców, zrobić przynajmniej jako tako dobrych obywateli państwa. To nam się jednak tylko wtedy uda, jeśli się z nimi obchodzić będziemy jako z równouprawnionymi. Niechaj sobie pojedyńczy idealiści marzą o odbudowaniu Polski. Im lepiej będzie się Polakom materyalnie powodziło, im mniej im się będzie przeszkadzało w pielęgnowaniu ich narodowych właściwości, tem mniej skłonną będzie masa ludu uczynić choćby jeden krok, aby urzeczywistnić marzenia kilku idealistów. Zadowoleni ludzie nie robią rewolucyi".

Co i o czem piszą.

Co myślą chłopi w Dąbrowskiem o wyborze Jakóba Bojki we Lwowie? — pytanie wcale niezbędne, bo wielkie miasto, stolica, jest przecież w chłopskiej wyobraźni skarbnicą mądrości. Co stolica uznaje za dobre, to jużci jest czemś doskonałem. Dlatego właśnie ciekawy jest list Dąbrowiaka, ogłoszony w *Gas. Narodowej*.

P. Dąbrowiak przypomina najpierw, że Bojko „rozbijał naszą jedność kołową w Wiedniu" i kładł swój podpis „na cyrografie przeciw Ojcu św., a nawet przeciw Sakramentom św. i Chrystusowi Panu" — co wszystko, oczywiście, wiedzą sąsiedzi wójta z Grębozowa. Potrąca p. Dąbrowiak o to, że „łatwo zapalny umysł mieszkańców stolicy, który niedawno nadział się „Wesela" — zapłonął wielkim, choć słomianym ogniem na myśl, że chłop, ot taki sobie chłop z „Wesela", będzie posłem stolicy i nie zawahał się następnie tego kroku, na sposób iście amerykański, niezrozumiały dla wielu, a najmniej dla mieszkańców dąbrowskiego powiatu, — oświadczył się za wyborem Bojki i wyboru dokonał." Kto jednak, jak chłopi dąbrowscy, na „Wesele" nie chodził, ten patrzy na Bojkę „bez żadnej dekoracyi, ale własnemi oczami i pyta: Dlaczego Lwów wybrał Bojkę? Czy inteligencya Bojki była potrzebną stolicy? Chyba nie. Czy ten wybór miał być demonstracyą? Może, ale przeciw komu? Czy przeciw mieszczanom, inteligencyi, księżom i chłopom w Dąbrowskiem, którzy Bojki nie wybrali? Przecież oni lepiej wiedzą, kto im potrzebny we Lwowie. Czy przeciw rządowi, który poparł Bojkę, jak to zaświadczą wójt z Dąbrowek i inni, którzy byli proszeni przez urzędników starostwa, aby za Bojką głosowali. Czy przeciw komitetowi centralnemu, który zgoła w wyborach naszych nie brał udziału? Czy przeciw ks. Wilczkiewiczowi, który ani jednego słowa nie zwołał, ani jednej mowy nie powiedział i zupełnie nie stawiał kandydatury. Czy może wybierano Bojkę, aby miłość dla ludu okazać? Ale w tym wypadku, dlaczegóż nie wybierano n. p. mądrego Średniawskiego, Daty i tylu innych, którzy w niczem nie ustępują Bojce, a może go przewyższają? Tak więc sympatya do figurki, wąsików i do gładko brzmiącego nazwiska Bojki decyduje o polityce stołecznego miasta? Gdybyż to jeszcze urocze Lwowianki głosowały!

Nie dziwimy się zresztą młodzieży akademickiej, że pod hasłem: „z ludem" zapaliła się do kandydatury Bojki; owszem z tego zapału się cieszymy. Dobrze, że ta młodzież teraz ma dużo gorącości dla ludu, że na skrzydłach młodości serce wzlata ponad niwy nasze i święty ogień miłości ludu w sobie rozpromienia. Dobrze, bo kiedy później stanie na stanowiskach lekarzy, sędziów, nauczycieli lub księży, będzie zmuszoną szukać w sobie niewyczerpanych zasobów tej miłości, aby nie zapłakać nad dawnem złudzeniem. Nie dziwimy się, że głosowali na Bojkę ludowi szowiniści i macherzy, którym potrzebna reklama przez wybór Bojki dla swoich ciemnych celów, ale stanowczo dziwimy się, że ludzie rozumni, uczeni i prawdziwie lud miłujący dali się porwać wyborczym szałem, bo tym aktem bynajmniej nie przysłużyli się sprawie narodowej i naszej religii. Międzynarodowy i bezwyznaniowy socyalista w swojej własnej skórze nie ma, jak dotąd, przystępu do naszego włościaństwa i może go nie będzie, ale znajdzie drogę za pomocą „ludowców", którzy niby to swoi, rozkrzewiają zasady socyalistyczne szybko wśród ludu. W tem leży niebezpieczeństwo dla kraju i w tem — zdaniem naszem — zasługa tych, którzy nie wybierali w Dąbrowskiem Bojki na posła.

Stało się inaczej i stało się źle. Dotąd lud polski i katolicki w powiecie dąbrowskim w swojej lepszej i znaczniejszej części nie chciał mieć styczności z „ludowcami", chociaż ciężkie chodził od nich znosić na jarmarkach, odpustach, w gazetach, a osobliwie przy wyborach — teraz ten lud straci niewątpliwie do reszty odwagę i ochotę do walczenia z napastnikami. Obiegają już teraz wieści po dąbrowskim powiecie, że p. namiestnik, to znów p. marszałek krajowy, ba nawet Najjaśniejszy Cesarz „zatwierdził" ludowców, że urzędnicy starostwa w Dąbrowie i znaczna liczba księży, nawet proboszczów, będzie na urząd Bojki wypędzoną na cztery wiatry, — że teraz każdy chłop musi być ludowcem, że Bojko „nie puści" ks. Wilczkiewicza do Sejmu, że nowe wybory w Dąbrowskiem, a nawet we wszystkich powiatach, gdzie ludowcy upadli, są już rozpisane itp. *Przyjaciel Ludu* pływa w obłokach uniesienia, *Kuryer* podkręcając pejsy, uderza w „racławickie kosy" i jasne sobie dni prorokuje. Czy to wszystko po myśli tych, którzy głosowali we Lwowie na Bojkę i tych, w których ręce Bóg złożył przyszłe losy ojczyzny i kościoła?

Mamy mimo tego wszystkiego, co się stało, ufność, że Opatrzność Boska zachowa ten lud polski — lud boży od herezyi „socyalistyczno-ludowej", mamy nadzieję, że fajerwerk, jaki ku większej czci i chwale „dąbrowskiego Piasta" wystrzeliła stolica, zagaśnie, nie wyrządzając wielkiej szkody, — jednak nie możemy się pozbyć bolu serdecznego, że naszą pracę w Dąbrowskiem, podjętą dla dobra kochanej ojczyzny i katolickiego Kościoła, przyjęły jeśli nie wrogo, to zimno i obojętnie nawet takie pisma, które stoją na naszym gruncie, to jest narodowym i katolickim.

Węgiel w Galicyi zachodniej.

(*Na zjeździe przemysłowym referat p. Fr. Bartonca, inspektora górniczego w Sierszy: „O ułożeniu pokładów węglowych w Galicyi zachodniej i ekonomicznem ich znaczeniu"*).

Ułożenia węglowe w Galicyi przedstawiają bogactwo węgla, z którem się przyszłość liczyć będzie musiała, powierzchnia bowiem obszaru, pod którym w głębi znajduje się węgiel, jest większa, niż powierzchnia rewiru ostrawsko-karwińskiego, mniejsza jednak naturalnie od powierzchni górno-szląskiego rewiru, który obejmuje 3140 kilometrów kwadratowych. Grubość formacyi węglowej, tj. grubość tej warstwy ziemi, w której są plastry węgla w Galicyi w okolicy Jaworzna-Sierszy, wynosi około 2055 metrów; w tej warstwie przeszło dwukilometrowej grubości, znajduje się 30 pokładów węgla różnej grubości, a wszystkie te grubości razem dają 81·4 metrów. We wszystkich tych grupach razem jest czystego węgla 3·95°|₀, to jest na każde 100 metrów grubości warstwy 3·95 metrów czystego węgla. Znając tę płaszczyznę i grubość warstw węglowych, można obliczyć ilość węgla w Galicyi.

Przy głębokości 1000 metrów i opuszczając najskrajniejszy wschodni brzeg zagłębia, który tworzy zakończenie tenczyńskich pokładów, przedstawia się obliczenie następująco. Bierzmy w rachubę tylko płaszczyznę 1092 kilometrów kwadratowych. Przy przyjętej grubości warstw górnych, mamy przy 1000-metrowej głębokości szybów 700 metrów warstw węglonośnych, które zawierają 3·95 proc. węgla, a otrzymujemy 764 sześciennych kilometrów masy warstw węglonośnych. Licząc na jeden metr sześcienny 12 centnarów węgla, otrzymamy 36·2 miliardów ton węgla. Z ilości tej należy, jak doświadczenia wskazują, odliczyć na filary bezpieczeństwa, na stratę przy budowie ganków, na uskoki itp. 40 proc., pozostaje więc do eksploatacyi 21·7 miliardów ton węgla. Ponieważ mamy powody do przypuszczenia, że na południe grubość pokładów i liczba ich analogicznie, jak na Górnym Szląsku, zmniejszyć się może — przeto odejmując jeszcze 10 procent od obliczonej ilości, czyli razem 50 procent, pozostaje ostatecznie do eksploatacyi 18·1 miliardów tonn.

W ostatnim roku wydobyto w tamtejszym rewirze węglowym około 30 milionów centnarów metrycznych; przyjmując, że w następnych stuleciach ilość rocznego wydobycia powiększy się aż do 200 milionów rocznie — to owe ostatecznie obliczone 18·1 miliardów tonn węgla wystarczyć mogą na przeszło 900 lat.

Ułożenie węgla w zachodniej Galicyi tak co do rozległości, jak i grubości jest zatem olbrzymie; co do przyszłości możemy być spokojni, bo nie ma obawy, ażeby w przyszłych stuleciach skarb ten mógł się wyczerpać. Pozostaje tylko do życzenia, aby nam daną była możność rozszerzenia ruchu kopalń, czyli powiększenia produkcyi węgla, przez coby znów dobrobyt kraju się podniósł, a liczne zastępy robotników, mając zatrudnienie w kraju, nie były zmuszone do emigracyi, jak to dziś niestety się dzieje. Pod tym względem dużo się u nas w Galicyi grzeszy, gdyż nieraz bywa niepotrzebnie kupowany węgiel zagraniczny, na czem nasze kopalnie cierpią. Że galicyjski węgiel jest odpowiednim, przekonał rok zeszły, w którym nie można było nastarczyć węgla.

Z dziedziny mody.

Odkąd moda zawarła związek ze sztuką, zyskała bardzo dużo, a sztuka nic nie utraciła, pomimo, iż jej hołdownicy nazywają ten związek — mezaliansem, stroje stały się bardziej indywidualne, zastosowane do typu, figury, a nawet do wyrazu twarzy. Obecnie panuje mieszanina stylów — w toaletach wieczorowych przeważa „Empire" i „Louis XVI", na ulicy widzimy okrycia „Louis XV" obok starogermańskich opończy; istnieją próby zwrócenia mód ku epoce drugiego Cesarstwa, wskrzeszenia spódnic z ogonem i tiuniką, rękawów podwójnych z bufkami, staników krótkich z baskiną. Estetyczniejszym daleko jest rodzaj „art nouveau", krojem do rozwiniętego kielicha podobny, łączący w sobie prostotę i wytworność. Tym warunkom nie odpowiadają mody z r. 1870, to też mało znajdują zwolenniczek. Narówni z powłóczystą suknią utrzymuje się bluzka i pasek; przytem kołnierze koronkowe wykładane, duże kapelusze Lamballe, popielate lub białe trzewiki — tak się nosi elegantka ostatniej doby.

Że sztuka chętnie oddaje usługi modzie, świadczą o tem malowane suknie, wyłogi, szmizetki, szarfy, parasolki, paski, ba, nawet malowane rękawiczki i trzewiki. Wprawdzie te wszystkie *objets d'art* muszą być kupowane na wagę złota, ale bogatych pań nie brak, a ubogie, rade nie rade, odmawiają sobie tego zbytku. Moda musi się liczyć ze wszystkimi stanami, ze wszystkiemi — kasami; przy wrodzonym guście i poczuciu właściwości, i żona urzędnika i żona księcia znajdzie w żurnalach fasony dla swego stanowiska odpowiednie. Zbytek istnieć musi, wbrew wszelkim moralistom, i byle nie obciążał budżetu konsumentek długami, ma swoje uzasadnienie i prawo obywatelstwa: sprzyja przemysłowi, rękodzielnictwu, wzbogaca producentów.

Nie sądźmy jednak, że kraje cywilizowane zajmują pierwsze miejsce na tem polu. W r. 1883 w Londynie, na międzynarodowej wystawie rybołowstwa podziwiano starą suknię króla z archipelagu Sandwich. Była wyrobiona z piór czarnych, czerwonych i żółtych ptaków, nie istniejących już dzisiaj. Przez półtorasta lat musiano zbierać potrzebne pióra, albowiem jeden ptak dostarczał ich po trzy, cztery najwyżej. Ta szata znalazła nabywcę za sto tysięcy funtów szterlingów (około $2^1/_2$ miliona koron). Zresztą zbytek jest rzeczą względną; zdarza się nawet, że to, co w kraju cywilizowanym stanowiłoby fortunę, w kraju dzikim i ubogim jest przedmiotem powszednim. I tak: żony rybaków eskimoskich mają futra, które po stosownem wyprawieniu skór, sprzedawanoby u nas na wagę złota.

W obecnym sezonie moda przeniosła swą główną kwaterę z wód i letnich rezydencyj na Rivierę. We wszystkich tamtejszych miejscowościach, gromadzących publiczność międzynarodową, Paryżanka trzyma zawsze prym pod względem „szyku" i zgrabności; bez samochwalstwa pozwolę sobie dodać, że tuż obok niej zajmuje miejsce Polka, nie ustępująca jej wiele w umiejętności ubierania się i noszenia strojów. Amerykanki przewyższają obie kosztownością ubioru, Angielki — skromną dystynkcyą i praktycznością toalet; Niemki dają się prześcignąć wszystkim na polu dobrego smaku; jedynie Wiedenki mogą iść w zawody nawet z Francuzkami i tak samo potrafią być ładne.... bez urody.

Przyjrzyjmy się, jak wyglądają stroje w takich miejscowościach. Rano widzi się bądź całe kostyumy angielskie, bądź spódnice z bluzkami, przeważnie białemi, lub *écru*, fasonem koszulowym. Spódnice z *homespun* koloru białego, *beige*, granatowego, popielatego, *bordeaux*; noszone są także suknie pikowe *genre tailleur* z szmizetką czarną, ponsową, crême itd.

W tym roku kapelusze do kostyumów są ubierane suciej: kwiatami, koronkami, wstążkami, całymi ptakami. Obok niepożytego *canotier*'a widzi się tiulowe toczki, pasterki „à la Charlotte Corday;" z kapeluszów gładkich najmodniejszy: z denkiem niskiem i szerokiem, rondo wywinięte dokoła.

Śliczne są toalety popołudniowe z białego batystu w drobniutkie, podłużne zakładeczki z falbaną u dołu, staniki marszczone, fiszutka Marie Antoinette, oszyta koronkami *écru*, pasek niebieski lub *crême*.

Starsze damy noszą przeważnie kostiumy angielskie fularowe, czarne w białe punkciki z białymi koronkowymi wyłogami, lub też z czarnej, gazowej brokateli, przybranej sukiennemi aplikacyami.

Na *reunionach* przeważa w tym sezonie kolor biały w najrozmaitszych materyałach, poczynając od sukna, a kończąc na tiulu i na gazie. Strojne toalety robione są ze zwyczajnego białego linon, dzięki koronkom crême i wstążkom tejże barwy. Na reuniony przychodzi się zwykle w kapeluszach — bardzo strojnych i jasnych i nie zdejmuje się ich w tańcu.

Płaszcze wieczorowe nie zasługują na nazwę płaszcza, są bowiem robione w kształcie saków ³|₄ długości; jako materyał służy lekkie sukienko w barwach: popielatej, piaskowej i bordo. Płaszcze, używane do automobilów mają ten sam krój, zaopatrzone są nadto w kapturki na wypadek deszczu; ma się rozumieć barwa takich okryć ciemniejsza, niż wieczorowych — najczęściej szara. Damy, używające przejażdżek automobilami osłaniają szczelnie twarz woalką, a nawet zakrywają nią kapelusz i włosy, wiążąc woalkę pod brodę

Najmodniejszemi rękawiczkami są zawsze białe, glansowe, lub duńskie na wizyty, promenadę, do kasyna; do podróży można używać nicianych, jako lżejszych; do sportów noszone są jelonkowe krojem angielskim, nie tamującym swobody palców.

KRONIKA.

Lwów 24 września.

Ministerstwo dla Galicyi powiększono o jednego urzędnika. Mianowano nim p. Adolfa Weingartena, koncypistę kraj. dyrekcyi skarbu.

Polowanie na jelenie. W Wygodzie bawi arcyksiążę Leopold Salvator, a w Tatarowie arcyksiążę Otton i książę Liechtenstein wraz z całym dworem myśliwskim dla polowania na jelenie. Takie polowanie odbywa się też właśnie w Perehińsku, dokąd udał się hr. Andrzej Potocki.

Komitet budowy pomnika Ujejskiego niniejszem zaprasza członków swych na posiedzenie, które odbędzie się we środę dnia 25 bm. o godzinie 6 po południu w sali posiedzeń Magistratu, w celu uchwalenia napisu na cokole pomnika. Sprawa jest pilna, gdyż ustawienie i poświęcenie pomnika nastąpi niebawem.

Konkursa rozpisują: Wydział powiatowy w Tarnopolu na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Czerniechowie; pobory 1600 K., termin do 15 października. — Dyrekcya poczt i telegrafów na posadę ekspedyenta w Chorzelowie z poborami III klasy 4-go stopnia i ryczałtem na służącego w kwocie 378 K.; termin do 3 października.

Miejskie muzeum przemysłowe. Sprawa wykończenia tego gmachu i potrzebnych ku temu funduszów jeszcze nie jest uporządkowana. Galicyjska Kasa oszczędności oświadczyła gotowość, w razie przegrania procesu, jaki gmina m. Lwowa ma jej wytoczyć, — wydania na dokończenie Muzeum tylko tyle, ile wynosiła kwota na ten cel przeznaczona, wraz z procentami. Ponieważ Kasa już znaczną część owej przeznaczonej kwoty (250.000 zł., oraz procenta) wydała, przeto pozostaje jeszcze 334.000 K. Gmina natomiast pragnie, aby gal. Kasa oszczędności zobowiązała się pokryć całkowity faktyczny koszt wykończenia gmachu muzealnego. Postanowiono tedy najpierw zoryentować się w planach i kosztorysach budowy, znajdujących się w ręku gal. Kasy oszczędności, jakoteż zażądać dokładnego rachunku z owej pozostałości 340.000 koron, a dopiero wynik opinii znawców zadecyduje, czy gmina propozycyę gal. Kasy oszczędności przyjmie

Pożegnanie dra Bobrzyńskiego. W ostatnich dniach bm. wiceprezydent Rady szkolnej krajowej powróci z urlopu do Lwowa, a dnia 30 bm. przed południem Rada szkolna, deputacye i podwładni urzędnicy oficyalnie pożegnają dra Bobrzyńskiego w jego biurze.

Poparzenie naftą. Wczoraj wieczorem w kuchni szynkarza Tennenbauma przy ul. Łamanej (obok targowicy zbożowej) podczas napełniania naftą palącej się lampy, nafta się zapaliła, a płomienie ogarnęły służącą Ksenię Tragamin. Dziewczyna okropnie się poparzyła. Nieprzytomną odwieziono do szpitala, oraz wdrożono śledztwo co do przyczyny tego wypadku, było bowiem podejrzenie, iż służąca padła ofiarą zbrodniczego zamachu. W kuchni oprócz służącej była także kucharka, która — gdy suknie na służącej poczęły płonąć — nie pośpieszyła jej z ratunkiem, lecz uciekła z domu. Okazało się jednak, że służąca padła ofiarą przypadku.

Zjazd koleżeński. Otrzymujemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie: Uczenice pensyonatu ś. p. Kamili Poh, które ukończyły VIII klasę tego zakładu w r. 1896, zechcą przybyć dnia 30 września o godzinie 10 rano do parku Kilińskiego pod pomnik na zjazd koleżeński.

Jadwiga Lewicka. *Aniela Noskowska.*

Regulacya serwitutów w Liskiem. Przed pamiętnemi krwawemi zajściami w Manastercu, włościanie gmin Manasterca, Łukawicy, Bezmichowy dolnej, Weremienia i Hużelów wnieśli do namiestnictwa podanie o uregulowanie serwitutów włościańskich na obszarach dworskich wspomnianych wsi. Zanim maszyna urzędowa zdołała zwykłym biurokratycznym trybem podanie to załatwić, przyszło w maju do krwawych zajść, których konsekwencyą było długie śledztwo, a następnie proces, zakończony — jak wiadomo — uwolnieniem wszystkich oskarżonych o gwałt publiczny włościan. Skoro proces się skończył, przybył do Liska radzca Namiestnictwa p. Sitkiewicz, aby przeprowadzić rozprawę serwitutową. Trwała ona pięć dni, od 17 do 21 bm. Hrabiowie Edmund i August Krasiccy, właściciele wspomnianych obszarów dworskich, zajęli przy układzie tym stanowisko bardzo przychylne dla włościan, dzięki czemu rzecz została odrazu załatwiona. Gminie Manasterzec wydzielono z obszaru lasów i pastwisk dworskich 150 morgów, gmina Bermichowa dolna otrzymała 55, Weremień 50 morgów, Hażele 45 morgów, a Łukawica 30 morgów. Za podstawę wymiaru odszkodowania serwitutowego brano — jak ustawa dyktuje — liczbę uprawnionych i obszar, serwitutem obciążony. Ponieważ gminie Łukawicy wskutek złego jej obliczenia się przypadło mniej, niżby w myśl ustawy się należało, hr. Krasicki już po podpisaniu ugody przyrzekł dobrowolnie przyczynić Łukawicy kilkanaście morgów. Włościanie objawili, że są najzupełniej zadowoleni z powyższego układu.

Pożar. Na obszarze dworskim w Jankowej, własności hr. Stefana Zamoyskiego, wybuchł onegdaj w nocy pożar, który zniszczył do szczętu dwie stodoły z całym zapasem zboża i przechowanemi w nich narzędziami gospodarskiemi, wartości 20.000 koron.

Morderstwo. Z Tarnopola donoszą: W piątek, 20 bm. około godziny 10 wieczorem, tragarz Litwin w podchmielonym stanie wstąpił do szynku przy placu zbożowym, by w trafice kupić cygaro. Zaszedł już szabas, więc usługiwała chrześcijanka; podała mu żądane cygaro i wydała resztę z 20-helerówki, Litwin wywołał awanturę, twierdząc, iż dał koronę. Zrobiło się wnet zbiegowisko, a zwabiony krzykiem trafikant chciał dla świętego spokoju darować Litwinowi koronę. Lecz awanturnik nie ustawał w wykrzykiwaniu i groził owej kobiecie nożem, jaki miał przy sobie. Posłano po policyę, lecz zanim ta przybyła, młody 19-letni chłopak, muzykant Tylica, stanął w obronie pokrzywdzonej kobiety i uderzył Litwina w twarz. Ten w mig zwrócił ostrze noża w jego pierś i przebił chłopca na wylot, tak, że Tylica, wydawszy tylko jęk żałośny, padł trupem. Zabójca stał całkiem spokojnie i czekał przybycia policyi; potem

Religijność Anglików.

Z pięknych szkiców p. Tadeusza Smarzewskiego p. t. „Wakacye w Anglii" wyjmujemy następujący urywek:

Pierwsza połowa października r. z. zaznaczyła się ożywionym ruchem w kościołach dysydenckich w Croydon. Zapowiedziano przyjazd misyonarza. Obiecał przyjechać na cały tydzień. Codzień miał kazać w kościele innej sekty.

Gipsy Smith posiada dziś w Anglii ustaloną sławę znakomitego kaznodziei. Sam uważa się za narzędzie, obrane przez Opatrzność ku nawracaniu zbłąkanych.

Urodził się w namiocie wędrownych cyganów. Był jeszcze małem dzieckiem, gdy ojciec jego, rodowity cygan, ochrzcił się i poświęcił szerzeniu Słowa Bożego. Starsi bracia poszli tą samą drogą.

Gdy Gipsy Smith przemawia, kościół bywa pełny. Słuchacz dziwi się z początku. Ani postawa, ani głos mówcy nie odpowiadają oczekiwaniom.

Trwa to dopóty, dopóki kaznodzieja nie wzniesie się do ekstazy, przejmującej cały kościół szmerem, drżeniem, łkaniem. Dokoła słychać to przejmujące łkanie tłumu, które chwyta za szyję i dławi.

Odtąd mówca rządzi już samowolnie całym tłumem słuchaczy. Gdy po skończonem kazaniu wzywa tych, co się czują w stanie łaski, by się zgromadzili w zakrystyi, pod magnetycznym wpływem jego wzroku podnosi się z ławek jedna postać po drugiej i, drżąc od płaczu, idzie przez kościół.

Żadne drwiny nie obalą faktu. W tym narodzie jest silne uczucie religijne. Objawia się ono i w łonie każdego wyznania, i we współzawodnictwie różnych kościołów.

Że przy wielkiej gorliwości religijnej trudno o zupełny spokój i zgodę, domyśleć się łatwo. Między kościołem anglikańskim, a sektami protestanckiemi, czyli tak zwanymi dysydentami, nie zniknęły jeszcze ostatnie ślady niechęci i niedowierzania.

Walka między wyznaniami obok największej tolerancyi; wielki pozytywizm w nauce obok niewykorzenionej skłonności do rozmyślań teologicznych; wielka żarliwość religijna obok częstych wypadków przechodzenia z jednego wyznania na drugie: wszystko to sprawia, że życie religijne w Anglii roztacza się przed nami, jako obraz zawiły, pełen rażących sprzeczności i jaskrawych plam.

Ażeby się w tym zawiłym obrazie przynajmniej o tyle zoryentować, o ile to jest możebne dla podróżnego, bawiącego tylko przez jedne wakacye na ziemi angielskiej, trzeba się przedewszystkiem pozbyć wielu wyobrażeń, któreśmy sobie o Anglii wyrobili w domu na podstawie wiadomości dziennikarskich, anegdot, branych z trzeciej ręki, konceptów z *Fliegende Blätter* i karykatur z *Journal Amusant.* Trzeba postępować według metody indukcyjnej, zapomnieć o sądach, jakieśmy może sami przedtem wydawali *a priori*, a polegać na tem, co widzimy i co słyszymy.

Nie da się zaprzeczyć, że gdy patrzymy na Anglię zdaleka, doznajemy mimowoli wrażenia, iż jej życie religijne z przesadnem święceniem niedzieli, z kazaniami, miewanemi po ogrodach przez ludzi świeckich, z podziałem na tyle rozmaitych wyznań, nie jest zjawiskiem poważnem. Niektóre objawy tego życia rozśmieszają nas.

Na brzegu angielskim dowiadujemy się, że to, co nam się wydawało śmiesznem, tu brane jest na seryo, że na straży tego życia religijnego, na straży tych zwyczajów i tradycyj stoją nietylko stare dewotki angielskie, ale także ludzie bardzo praktyczni i bardzo pozytywni, ludzie o wielkiem wykształceniu i wielkiej energii.

W miarę dłuższego pobytu dowiadujemy się rzeczy innych, niemniej dziwnych: dowiadujemy się, że to, co tych ludzi dzieli na wyznania i sekty, stanowi także między nimi łącznik niewidzialny. Dzieli ich żarliwość religijna, ale ta sama żarliwość łączy ich także. Każda sekta, każde wyznanie walczy z dogmatami sekt i wyznań innych, ale w każdej sekcie i w każdem wyznaniu są ludzie, umiejący cenić w innowiercach szczerość przekonania i gorącość uczuć.

„Jeden jest tylko przedział — mówi Gladstone w swym sławnym liście otwartym z dnia 1 czerwca roku 1896 — przedział, wobec którego, według mego najgłębszego przekonania, nikną wszelkie inne przedziały; jest to przedział między wiarą a niewiarą". Na innem zaś miejscu ten sam mąż stanu, objawiający przez całe życie silną, niezachwianą wiarę, wyraża się temi słowy, charakteryzującemi Anglika: „Jestem przekonany, że im bardziej pojedyncze wyznania chrześcijańskie będą poznawały i badały prawidła wiary i zasady życia, wyznawane przez inne wyznania, tem bardziej wzmocni się całe chrześcijaństwo".

Pamiętać atoli trzeba, że powiedział to jeden z najdoskonalszych przedstawicieli typu anglo-saskiego, i że nie wynika ztąd jeszcze, iżby poglądy te podzielali w równej mierze wszyscy członkowie kościoła anglikańskiego, którego on był gorliwym wyznawcą.

Gorliwość jest w Anglii cechą wszystkich wyznań.

Oto weźmy kościół kongregacyonistów w West-Croydon. Kongregacyoniści stanowią sektę, liczącą w Anglii i Walii półtora miliona miejsc w ławkach kościelnych. Gmina ich, jak wszystkie gminy dysydenckie, ustępuje pod względem zamożności parafiom anglikańskim. Mimo to wybudowała wspaniały, ogromny kościół gotycko-romański, wynagradza wcale dostatnio pastora, a nadto składa się nieustannie na mnóstwo instytucyj i przedsięwzięć, połączonych z kościołem.

— Co w Croydon robić w niedzielę po południu, jeżeli deszcz pada?

— Chodź pan z nami do kościoła — mówią mi. — Byłeś pan rano na mszy katolickiej, teraz zobaczysz jak wygląda u nas.

— Czy to nieszpory? — pytam.

— Gdzież znowu! Na nieszpory pójdziemy dopiero po herbacie. Teraz może się pan przysłuchać nauce religii.

— Chodźmy!

Obok kościoła wybudowali parafianie ogromną hallę, przy niej kilka pokoi mniejszych. W tej halli i w przyległych pokojach urządza osobny komitet niedzielną naukę religii. Udzielają jej w części nauczyciele i nauczycielki szkół miejscowych, należący do gminy, w części ludzie dobrej woli. Prezes komitetu mr. Pym robi mi honory. Po lekcyi wdaję się w rozmowę z nauczycielką, którą już znałem poprzednio.

— To zajęcie pozbawia panią w niedzielę dwóch godzin wolnego czasu?

— Robimy to chętnie dla kościoła.

— Czy koszta tej nauki ponosi cała parafia?

— Kosztów prawie nie ma. Na cóż tu pieniędzy? Te same śpiewniki i książki służą raz na zawsze.

— A któż wynagradza pani czas stracony?

— Nikt z nas nie przyjąłby wynagrodzenia. Jako należący do gminy (kościelnej), poczytujemy to sobie za obowiązek. Zresztą komitet daje nam dobry przykład. Mr. Pym, nasz *chairman* (przywódzca), zajmuje się tak gorliwie tą nauką.

— Uważałem, że go dzieci dobrze znają. Musi bywać często na lekcyach?

— Nie opuszcza prawie żadnej niedzieli. Ma wogóle wielkie zasługi. Jest jednym z „dziekanów" parafii. Interesa swe urządza tak, by w niedzielę być zawsze w Croydon ze względu na nasze lekcye.

— A jakiż jest jego zawód?

— Jest agentem ubezpieczeń.

Życie gminy kościelnej jest więc czemś więcej, niż czczą formułką. Kongregacyoniści, jako sekta dysydencka, jako nonkonformiści, nie mają gminy, zorganizowanej przez ustawy państwa. Cała organizacya polega na dobrowolnem zobowiązaniu. Mimo to siła dośrodkowa, skupiająca rodziny koło kościoła, jest tak znaczna, iż jednostki ulegają jej chętnie i poddają się bez szemrania uciążliwym nawet obowiązkom.

Chciałbym, ile możności, unikać w tem opowiadaniu liczb. Niekiedy jednak nie mogę ich sobie i czytelnikowi oszczędzić. Ażeby dać pojęcie o tem, do jakiego stopnia kościół bywa w Anglii ogniskiem życia społecznego, zwrócę uwagę na wysokość dobrowolnych składek, darów i zapisów, płynących na cele kościoła anglikańskiego. Nadmieniam wyraźnie, że jest tu mowa wyłącznie o kościele rządowym w Anglii, z pominięciem wszystkich sekt, z pominięciem kościoła narodowego w Walii, kościoła prezbyteryańskiego w Szkocyi, kościoła episkopalnego w Irlandyi.

Przez ćwierć wieku, od r. 1860 do 1884, dobrowolne te dary wyniosły razem 81 milionów funtów!

W sumie tej mieściło się 35 milionów funtów na budowę kościołów, 22 mil. na szkoły kościelne, 10 milionów na misye zagraniczne i t. d.

Ofiarność na te cele wzrasta stale. W roku 1899 kościół anglikański otrzymał tytułem dobrowolnych datków i zapisów 7,500.000 funtów, w roku następnym 7,700.992 funtów. Prawie 200 milionów koron w ciągu roku! A stałe utrzymanie pastorów i świątyń nie wchodzi w tę sumę wcale.

Kościól anglikański nie osłabł wskutek tolerancyi, jaką ostatnia epoka przyniosła Anglii w darze. Czy i nadal zachowa swą potęgę? Pamiętajmy, że wyznania religijne nie żyją w Anglii w spokoju i zgodzie. Rywalizacya między niemi nie ustała. Najwyraźniejszym zaś jej znakiem jest niesłychany wzrost katolicyzmu, jest niesłychany zwrot ku katolicyzmowi w łonie samego anglikanizmu.

najspokojniej udał się na inspekcyę policyjną i całą noc w kaźni magistrackiej wyśpiewywał. Nazajutrz rano odprowadzono go do aresztów śledczych tutejszego sądu.

Usiłowane samobójstwo. Wczoraj po południu w mieszkaniu swem pod l. 28 przy ul. Źródlanej powiesił się na haku koło okna 60-letni Wasyl Chodysz, zarobnik. Żył on w niezgodzie z żoną i dlatego się rozpił, a wczoraj upił się do utraty przytomności i wtedy powiesił się. Przez okno zauważono jednak dość wcześnie wisielca, odcięto go i odratowano. Począł wprawdzie dawać znaki życia, ale był tak pijany, że walił się z nóg. Odwieziono go do szpitala.

Obrazy Grottgera przed sądem pruskim. Poznańska policya skonfiskowała 22 kart pocztowych w witrynie firmy „Antoni Rose", zawierających reprodukcye znanych arcydzieł Grottgera z cyklu „Polonia", „Lithuania", „Wieczory zimowe" i „Nieznane prace" i wytoczyła panu W. Chrzanowskiemu i pani Maryi Bartsch, która także je miała na składzie, proces o zbrodnię podburzania do gwałtów przeciw ludności niemieckiej. W uzasadnieniu oskarżenia powiedziano, że obrazki, wystawione na widok publiczny, wobec wzburzenia, panującego wśród „Prusaków mówiących po polsku", są w stanie naruszyć pokój publiczny. Dalej, ponieważ symbolicznie przedstawiają Polskę w stanie niewoli, przeto mogłyby ludność nakłonić, ażeby z bronią w ręku działała w celu odbudowania Polski. Pani Maryi Bartsch wytoczono jeszcze proces o wystawianie w oknie kart z obrazkami, przedstawiającemi bitwy Polaków z Rosyanami w r. 1863.

Proces odbył się w zeszły piątek. Obrony oskarżonego podjął się i prowadził ją znakomicie poseł dr. Bernard Chrzanowski. W obronie podniósł, że obrazy Grottgera od kilku dziesiątek lat rozpowszechnione są po domach polskich na równi z mazurkami i polonezami Chopina, że w myśl poglądów pana prokuratora, trzebaby zniszczyć całą literaturę polską, a może i „Polenlieder" Lenaua, Platena i Herwegha, zabronić reprodukcyi wielkich historycznych obrazów Matejki, mimo, że ich oryginały były wystawione w Berlinie, albo reprodukcyi przez cesarza Wilhelma II wyszczególnianego Wojciecha Kossaka, ponieważ malował sceny z walk Polaków o wolność. Do wszystkich tych dzieł i obrazów musiałby znaleźć zastosowanie paragraf 130 kodeksu karnego o podburzaniu do nienawiści klasowej i czynów gwałtu. — Mimo tej świetnej mowy obrońcy, nadprokurator wniósł o potwierdzenie konfiskaty i zasądzenie oskarżonych na karę pieniężną. Atoli trybunał wydał wyrok uwalniający podsądnych od winy i kary.

O zamku Compiègne, w którym mieszkała rosyjska para cesarska, piszą dzienniki paryskie: Dwie cesarzowe francuskie w zeszłym wieku przebywały w pałacu Compiègne: żona Napoleona I i Napoleona III. O Maryi Ludwice opowiada Imbert de Saint-Amand:

Napoleon zjechał do Compiègne już 20-go marca, aby przyjąć godnie swą młodą małżonkę; rozkazał odnowić i umeblować cały pałac. Galerya została przyozdobiona złotymi lambrekinami i kolumnami stiukowemi. W ogrodzie poustawiano posągi; przy pomocy nowo wynalezionych maszyn, sprowadzono wody z Oizy. Stawili się wszyscy członkowie cesarskiej rodziny. Dwór był wspaniały. Cesarz pragnął olśnić swą oblubienicę niezwykłym przepychem. Ceremoniał przyjęcia został ułożony z góry. Postanowiono, iż spotkanie pary cesarskiej odbędzie się 28-go marca, pomiędzy Soissons a Compiègne. Napoleon wyruszy z tego ostatniego miasta wraz z księżniczkami i książętami krwi. Poprzedzać go będą oddziały konnej gwardyi cesarskiej. O dwie mile od Soissons został wzniesiony pawilon z trzech namiotów; wstępowało się do niego od dwu stron: od Compiègne i Soissons. Cesarz miał wejść z jednej, cesarzowa z drugiej strony i spotkać się pod środkowym namiotem. Pawilon, zasłany kobiercami, nurzał się w zieloności i kwieciu. Środkowy namiot był wybity purpurą i obramowany złotem. Postanowiono, że Marya Ludwika uklęknie przed cesarzem, który ją natychmiast podniesie i pocałuje; następnie oboje wsiądą do galowej karocy i oba orszaki połączą się.

W dniu 27 marca wszystko już było gotowe. Skoro świt, ks. Karol Schwarzenberg, ambasador austryacki i hrabina Metternich, żona ministra przybyli do Compiègne z Vitry-le-Français, gdzie się widzieli z cesarzową. W południe Napoleon otrzymał od niej list, Marya Ludwika donosiła mu, że przyśpieszy podróż i tegoż dnia jeszcze stanie w Soissons. W chwili gdy mu ten list wręczono, cesarz chodził po parku; przeczytawszy go, nie zdołał już swej niecierpliwości hamować i postanowił, wbrew ceremoniałowi, ułożonemu na dzień następny, zaraz na spotkanie swej małżonki wyruszyć. Przyzwał Murata, wyszli z parku pokryjomu, wsiedli do skromnej karety bez herbów i co koń wyskoczy popędzili do Soissons.

Miłość i zaciekawienie przyśpieszały tętno cesarskiego serca; jak dwudziestoletni młodzian nie mógł się doczekać chwili poznania. O milę od Soissons wysiadł w wiosce Courcelles, obliczając, że Marya Ludwika przybędzie tu niebawem.

Ona tymczasem, jadąc z jego siostrą, królową Karoliną, nie domyślała się, co ją czeka. Zamierzała przybyć na obiad do Soissons i tam zanocować. Courcelles było ostatnim etapem. Cesarz stanął tam wśród ulewnego deszczu. Wybiegł z powozu i schronił się pod kościelnym portykiem, naprzeciw gmachu pocztowego.

Nagle zaturkotały koła. Nadjeżdżał powóz Maryi Ludwiki. Napoleon za chwilę miał ujrzeć arcyksiężniczkę austryacką, cesarzowę Francyi, królowę Włoch, żonę, która go synem obdarzy! Radość kochanka łączyła się z tryumfem zwycięzcy.

Powóz stanął. Zaczęto konie odprzęgać. Napoleon przypadł do drzwiczek. Nie chciał być poznanym, ale koniuszy d'Audenarde, nie wierząc własnym oczom, zawołał:

— Cesarz!

Uradowany małżonek chwycił w objęcia swą młodziutką żonę. Podobała mu się od pierwszego wejrzenia. Ta dziewica w pełnym rozkwicie piękności i zdrowia była właśnie cesarzową, o jakiej marzył. Ujęła go na wstępie takiemi słowy:

— Jesteś ładniejszy, niż na portretach, *Sire.* — Było to powiedziane słodko i nieśmiało.

Goniec wyruszył natychmiast do Compiègne, aby oznajmić, że cesarska para na noc tam zjedzie. Powóz, w którym Napoleon, Marya Ludwika i królestwo neapolitańscy zajęli miejsce, potoczył się ku Soissons; za nim jechały osoby ze świty cesarzowej.

W Soissons popasano kilka minut zaledwie. Napróżno miasto przygotowało się na powitanie pary monarszej, napróżno wzniesiono pawilon — młoda para cesarska, nie przedłużając pobytu, pośpieszyła dalej.

Gdy goniec obwieścił w Compiègne niespodziewaną nowinę, całe miasto zawrzało gorączkowo. Przygotowano naprędce iluminacyę, marszałek Bessières wyjechał na czele konnicy gwardyjskiej. Mieszkańcy wylegli tłumnie, dążąc na most kamienny, gdzie Ludwik XVI witał na ziemi francuskiej Maryę-Antoninę. Podwórza i galerye pałacowe zaroiły się od gapiów. Deszcz padał, jak z cebra, noc była ciemna. O dziesiątej wystrzały armatnie obwieściły przybycie pary cesarskiej. Księżniczki, książęta i ambasador austryacki oczekiwali u stóp podjazdu; cesarz przedstawił ich żonie. Władze miejskie były zgromadzone w galeryi; biało ubrane dziewczęta powitały cesarzową i wręczyły jej kwiaty. Napoleon odprowadził potem Maryę-Ludwikę do jej apartamentów. Ucieszyła się i zdziwiła, zobaczywszy tam swojego pieska i swoje ptaki, pozostawione w Wiedniu; sprowadzono z Burgu nawet jej zaczętą robotę kanwową. Taka dobroć Napoleona do łez ją wzruszyła. Po wieczerzy, do której została dopuszczona tylko królowa Neapolu, cesarz zaprowadził żonę do swej chorej siostry Pauliny; zabawili u niej chwilkę, potem Marya Ludwika wróciła do swej sypialni i ułożyła się do snu.

Z Warszawy nam piszą: Wśród żydów naszych gotuje się.... secesya. Pewna grupa rabinów z kategoryi ortodoksyjnych talmudystów, zyskawszy już licznych prozelitów, postanowiła oczyścić judaizm z różnych naleciałości. Secesyoniści twierdzą, że zepsucie judaizmu nastąpiło w ostatnich 130 latach. Zakładają tedy Towarzystwo religijne z programem obejmującym dwadzieścia kilka punktów wytycznych. Przedewszystkiem trzy przestępstwa wysuwają na plan pierwszy, jako objawy najgroźniejszego zepsucia żydowskiego: 1) znieważanie szabasu potajemnie i jawnie, 2) nieużywanie przez kobiety mykwy rytualnej i 3) wychowanie synów nie w duchu zakonu „tory". Dla zapobieżenia pierwszemu przestępstwu winny być ustanowione związki „stróżów szabasowych" rozciągających ścisłą kontrolę nad żydami, łamiącymi święta, a zwłaszcza szabas. Co do mykwy, wstrętnej i niehygienicznej wspólnej kąpieli obrzędowej, należy zmuszać do niej wszystkie kobiety pod groźbą kar i klątw. Trzeci, najważniejszy punkt, tyczący się wychowania młodzieży męskiej, ma na widoku wzmocnienie nauki talmudu i dozór nad mełamedami (nauczycielami) chederów (szkół), z których należy wyrzucić wszelkie świeckie nauki, znieść nowe metody, a powrócić do dawniejszych.

Oto w ogólnych zarysach program zamierzonego Towarzystwa religijnego, jakie na zebraniu odbytem w Łodzi postanowiono utworzyć i starać się u władzy o zatwierdzenie związku tak centralnego jak i oddziałów po miastach i miasteczkach z ludnością żydowską w całem państwie. Inicyatorami Towarzystwa są rabini: z Łodzi, Brześcia Litewskiego i Słomnik. Co jest charakterystycznem, że ci ortodoksyjni talmudyści ani słówkiem nie wspominają o ruchu syonistycznym, ignorują go zupełnie, zakładając pomyślność i przyszłość judaizmu tu, na miejscu pobytu. — *Hamelic,* dziennik hebrajski, nieprzyjaźnie występuje przeciw projektowi Towarzystwa, twierdząc, że „rabini nie znają dzisiejszego życia realnego". Jest to więc wyraźna niechęć względem ortodoksów, czyli chassydów, zapowiada ona rozdwojenie w łonie żydów.

Fakt nader silnego ruchu ku wzmocnieniu chassydyzmu i nawrotu ku talmudyzmowi stanowi objaw wysoce charakterystyczny, oblewający zimną wodą wszystkich „asymilatorów".

Car i ulicznik. Znany kronikarz *Figara* Hugues Le Roux opowiada w swem piśmie zabawny epizod z pobytu cesarza rosyjskiego we Francyi w roku 1896. Car oświadczył pewnego dnia niespodziewanie, że chce odwiedzić Loubeta, ówczesnego prezydenta senatu, i udał się do pałacu Luksemburskiego w karecie, w towarzystwie szefa sztabu jeneralnego Boisdeffre, eskortowany przez kilku dragonów konnych. By nie zwracać uwagi tłumów, zgromadzonych przed pałacem Elizejskim, powóz wyjechał boczną bramą i wkrótce stanął przed pałacem senatu, w którym mieszkał jego prezydent. Jenerał Boisdeffre wysiadł i poszedł do prezydenta uprzedzić go o zaszczytnych odwiedzinach, car zaś został w powozie. Ulica była prawie zupełnie pusta, tylko tuż przed wjazdem do pałacu siedział pod sztachetami kilkunastoletni, typowy *gavroche* paryski, z filozoficznym spokojem przypatrujący się wszystkiemu, co się działo na ulicy. Zoczywszy powóz z eskortą, mruknął niechętnie: „znowu jakaś ekscellencya" i siedział spokojnie dalej.

Nagle drgnął i zdumiał się mocno, co się zwykle nie zdarza *gamin'om* paryskim. W oknie powozu spostrzegł twarz, którą naturalnie znał doskonale z tysiąca fotografij wystawionych za witrynami sklepów, z obrazków w ilustracyach, z medali sprzedawanych po ulicach, — poznał cesarza. Zaraz w następnej chwili zgorszył się, jak powiedział później komisarzowi policyi, że gość Francyi nie ma z kim rozmawiać, wstał więc, wpakował jak mógł najgłębiej obie ręce do kieszeni od spodni, podszedł tak parę kroków i stanął tuż przed drzwiczkami powozu, patrząc oko w oko monarsze rosyjskiemu. — Eskorta, ustawiona za powozem nie protestowała, gdyż żołnierze nie wiedzieli zupełnie, kogo kazano im strzedz.

Ulicznik stał przez chwilę, nie wiedząc, jak zagadnąć cesarza, wreszcie po namyśle, powitał go uprzejmie skinieniem głowy, nie zdejmując swej typowej czapeczki i zapytał:

— Jak się ma cesarzowa?

Car zdziwił się nieco, uśmiechnął się i odpowiedział uprzejmie:

— Dziękuję panu. Cesarzowa ma się doskonale i jest zachwycona podróżą.

Gavroche stał jeszcze przez chwilę, ale widać nie znalazł wątku do dalszej rozmowy, bo uchylił lekko czapki, obrócił się i powoli, z godnością, by nie okazać zmieszania, poszedł w głąb ulicy.

Całe zajście opowiedział potem car, śmiejąc się, ówczesnemu prezydentowi republiki Faure'owi, chwaląc uprzejmość ulicznika. — Policya nie omieszkała wyśledzić go i spisała z nim protokół, złożony w aktach.

Histotya o królu Edwardzie IV, artystce i pierścionku. Dzisiejszy monarcha angielski, który tak długo był księciem Walii, jako następca tronu częstym bywał gościem w paryskim bulwarowym teatrze „Vaudeville", częstym również gościem w garderobie pani Rejane, która jest tego teatru królową. Królowę sceny i przyszłego króla w Brytanii łączyły związki przyjaźni.

Cóż więc dziwnego, że pani Rejane, bawiąc przed kilku miesiącami w Homburgu, gdy u źródła spotkała się z królem Edwardem, chciała go przywitać z dawną poufałością. Nie darmo jej najlepszą kreacyą jest „Madame Sans-Gêne"... Ale radosne powitanie przebrzmiało bez echa. Król zdawał się nie widzieć i nie poznawać aktorki... Przeszedł mimo niej.

Pani Rejane poczuła się dotkniętą. I „Zaza" nie była pozbawioną ambicyi! Jednak zaraz po południu wszystko się wyjaśniło. W mieszkaniu artystki zjawił się ks. Cambridge, zaprosił ją do zamkniętej karety i powiózł do willi króla Edwarda. Ten zaś wyraził pani Rejane swe ubolewanie, że stanowisko monarchy Wszechbrytanii nie pozwala mu na taką swobodę postępowania, z jakiej korzystał, będąc księciem Walii, — że tem niemniej jednak zostanie zawsze gorącym wielbicielem jej talentu.

Wieczorem pani Rejane otrzymała wspaniały pierścień, który ma jej osłodzić fakt, iż między księciem Walii a królem Edwardem VII przestrzeń daleka...

Kwiatki hakatystyczne. Rejencye kwidzyńska i gdańska wysłały do nauczycieli w zachodnich Prusach poufny okólnik, polecający śledzić polskich księży i donosić, jeśliby który brał udział w agitacyi polskiej, tj. uczył dzieci po polsku, rozdawał polskie katechizmy i elementarze itp.

Mieszkańcy powiatu kępińskiego w prowincyi poznańskiej, wnieśli do ministra Studta protest przeciw oburzającej gospodarce, jaką prowadzi w lazarecie wybudowanym na koszt powiatu kierownik lazaretu Roland, protestant. Roland był sądownie karany więzieniem za gwałt popełniony na chorych w lazarecie. Siostry Boromeuszki chciały darmo opiekować się chorymi, lecz landrat ofertę ich odrzucił.

Zmarli. We Lwowie Fryderyk Sabatowski, b. właściciel dóbr, lat 81; Joanna Żurawiecka, żona emer. urzędnika m. Żółkwi, lat 59. — W Kołomyi Celestyn Domain, więzień stanu z r. 1846, b. właściciel dóbr, lat 78.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części klasztoru na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu w naszej redakcyi: Marcin Sobków Pająkiewicz, gospodarz z Kurowic (z prośbą o Mszę świętą za zdrowie i szczęśliwe powodzenie całej rodziny) 40 koron; J. N. ze Lwowa (z prośbą o Mszę świętą na uproszenie pewnej łaski N. M. P.) 3 K.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 9, w poł. + 16 R. Bar. 773. Podnosi się. Pogodnie.

Szczęście.

— Czy ten pijaczysko żonaty?

— Nie.

— No —... to jeszcze szczęście dla jego żony.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś wtorek „San-Toy" operetka w 3 aktach Sidney Jonesa. Debiut Stefanii Poreckiej w roli tytułowej. — We środę „Wesele" dramat w 3 aktach St. Wyspiańskiego. — We czwartek (wznowienie) „Odrodzenie" kom. w 3 aktach Schönthana i Koppel-Elfelda. Występ Gabryeli Morskiej. — W piątek po raz VIty „Leta" krotochwila w 3 aktach Ralfa Gobbinsa. — W sobotę (wznowienie) „Walka motyli" kom. w 4 aktach H. Sudermana. Występ G. Morskiej. — W niedzielę po raz VIty „Jabuka"

Doniesienie Dra Mikolascha. Wszystkim P. T. Interesowanym donoszę celem uniknienia nieporozumień, że z dniem 1 kwietnia br. sprzedałem fabrykę wody sodowej i wód leczniczych, istniejącą od lat kilkunastu przy aptece pod firmą Piotra Mikolascha, Stowarzyszeniu Udziałowemu pod firmą fabryka wody sodowej „Zdrowie" we Lwowie, ul. św. Marcina l. 22, którego dyrektorem i kierownikiem technicznym byłem do dnia 14 września br. W dniu tym z pomienionej godności zrezygnowałem. *Dr. Henryk Mikolasch.*

Lwów, 24 września 1901.

Literatura i sztuka.

„Krew za krew", sztuka sceniczna J. K. Zielińskiego, który—jak niedawno zanotowaliśmy—złożył ją dyrekcyi teatru lwowskiego, będzie wystawiona na naszej scenie w bieżącym sezonie. Jest to utwór czteroaktowy z prologiem, muzyką i baletem. Muzykę do tego utworu komponuje Jan Gall.

* **Zbiór pieśni łowieckich** — przez Józefa Winharda — Lwów. Nakład autora. Autor skomponował kilkadziesiąt pieśni myśliwskich, zastosował do nich arye z wielu bardzo znanych oper i operetek, prawie wyłącznie obcych, bo z polskich są tylko z „Halki" i „Strasznego dworu" — dodał trochę ilustracyj i wydał to wszystko dość ozdobnie. Damy parę przykładów. Aryą z „Trubadura" autor tak żegna swego psa Parysa: „Żegnam luby Parysie, żegnam cię na wieki! Tyś swe powieki zamknął w służbie mej. Żegnam, ach żegnam cię, bo już nie ujrzę, nie ujrzę cię!" — Do „Sokoła" tak śpiewa autor na nutę z „Halki": „O mój sokole w obłokach wzbity, ty sięgasz niebios skrzydeł twych szczyty. Daruj ptaszynie na prośby mienia, zanieść jej czułe moje westchnienia" itd. Z tych przykładów widać, że pomysł autora był lepszy od wykonania.

Część ekonomiczna.

§ **Nowe projekty ustawodawcze.** Z Wiednia donoszą, że w ciągu jesiennej sesyi Rady państwa wniesie rząd między innemi także projekt ustawy akcyjnej, tudzież projekt ustawy o stowarzyszeniach z ograniczoną poręką. Ten ostatni projekt ma być podobno bardzo korzystny dla stowarzyszeń z ograniczoną poręką, gdyż przyznaje im cenne ulgi podatkowe. W myśl tego projektu płacić mają niektóre towarzystwa tytułem podatku tylko 1% od czystego zysku.

§ **Z kolei.** XIII dodatek do taryfy osobowej dla zachodnich kolei lokalnych z dnia 1 października 1899. Z ważnością od 1 listopada 1901 wejdzie w życie dodatek XIII do powyższej taryfy. Zawiera on podwyższenie cen jazdy III klasą na kolei lokalnej Nakri-Netolitz-Netolitz (miasto). Pojedyncze egzemplarze tego dodatku są do nabycia w dyrekcyach kolei państwowych, a sprowadzać je można również przez stacye kolejowe po cenie 20 halerzy.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Wiedeń 24 września. Prezydent węgierskiego gabinetu Szell i węgierski minister skarbu Lukacs konferowali tu wczoraj z drem Koerberem i ministrem skarbu Boehm-Bawerkiem.

Kilonia 24 września. Para carska wczoraj stąd wyjechała.

Berlin 24 września. Aresztowano tu redaktora anarchistycznego pisma *Neues Leben*, Ottona Panzera. Numer dziennika z artykułem o zamachu na Mac Kinleya skonfiskowano.

Pekin 24 września. Od czasu wyruszenia wojsk sprzymierzonych w całem mieście panuje spokój. Wojska Juanszikaja utrzymują porządek. Ludność jest dla cudzoziemców przychylnie usposobiona.

Londyn 24 września. Kitchener donosi z Pretoryi: Pułkownik Williams zabrał do niewoli oddział Boerów liczący 250 ludzi. Jenerał Kreutzinger chciał przekroczyć rzekę Oranje i zaatakować obóz Boerów pod Lovatem. Próba ta nie udała się, Anglicy ponieśli znaczne straty. Boerzy zabrali 1 armatę, którą Anglicy później odzyskali.

Münster 24 września. Jeden z członków świty ks. Czuna przybył tu, aby z jego polecenia złożyć wieniec na grobie bar. Kettelera.

Durban 24 września. Botha na czele 1500 ludzi maszeruje z Ermelo do kraju Zulusów.

Haga 24 września. Nowy prezydent ministrów Kuyper konferował z delegatami Boerów: Fischerem, Wesselsem i Wolmaremsem. Celem konferencyi było oficyalne poznanie się nowego szefa gabinetu z zastępcami Transwaalu. Co się tyczy prośby tych zastępców, wystosowanej do stałej rady administracyjnej międzynarodowego sądu rozjemczego o rozstrzygnięcie przez ten sąd kwestyi południowo-afrykańskiej, to podobno rada uzna się niekompetentną w tej sprawie.

Cetynia 24 września. Na jeziorze Skutari, w pobliżu tureckiej miejscowości Strebecz, strzelił ktoś do okrętu, należącego do księcia Nikity czarnogórskiego. Strzały chybiły. Stwierdzono, że była to zasadzka. Rząd czarnogórski wniósł do Porty protest z powodu tego zajścia.

Londyn 24 września. Z Chicago donoszą, że aresztowanych anarchistów wczoraj wypuszczono z powodu braku dowodów winy.

Kapsztad 24 września. Wszystkie wojska, będące do dyspozycyi, pracują nad ufortyfikowaniem zatoki Mossel (u wybrzeża kraju przylądkowego nad oceanem Indyjskim).

Kalundborg (na Zelandyi) 24 września. W tartaku i w składzie drzewa tutejszej spółki akcyjnej dla handlu drzewem wybuchł wczoraj w południe pożar, który wskutek silnego wiatru ogarnął i miasto; telegraf, telefon i połączenie kolejowe przerwane, albowiem dworzec także stoi w płomieniach.

Kraków 24 września. Nadeszło tu pismo z dyrekcyi funduszu propinacyjnego, zawiadamiające, że fundusz jest gotów udzielić gminie miasta Krakowa pożyczki 1 miliona koron na roboty inwestycyjne, pod warunkiem, że gmina zgodzi się na wdrożenie egzekucyi politycznej zamiast sądowej w razie zalegania z ratami lub odsetkami.

Buffalo 24 września. Wczoraj rozpoczął się tu proces przeciw mordercy Mac Kinleya. Budynek sądowy jest silnie strzeżony. Wstęp dozwolony tylko za biletami. Czolgosza przyprowadzono z więzienia do sądu przez podziemne przejście. Jeden z obrońców oświadczył podczas rozprawy, że głównem zadaniem obrony jest pilnować, aby wszystkie formy, przepisane ustawą, były ściśle przestrzegane. Zresztą obrona ma wychodzić z założenia, że oskarżony działał pod wpływem obłędu. W dalszym ciągu rozprawy podniósł obrońca Dailar, że niekoniecznie rana zadana wystrzałem sprowadziła śmierć, że raczej właściwą przyczyną zgonu było zapalenie i komplikacye, zaszłe w tylnej części żołądka, wywołane wchłonięciem płynów zakaźnych.

Belgrad 24 września. Skupczynę zwołano na 1 października.

Szangaj 24 września. W dolinie rzeki Jangtse klęska powodzi przybrała przerażające rozmiary. Dziesięć milionów ludzi znajduje się w najokropniejszej nędzy.

Berlin 24 września. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·30. Spirytus —·00.

Paryż 24 września. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100.87. Mąka („Fleur de Paris") 27·10.

Wiedeń 24 września. Kursa giełdy wiedeńskiej.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3% 252.25

„ „ „ „ „ „ 1889 3% 243.50

Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4% 490.—

Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5% 256.75

Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 244.10

Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2% 79.50

Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr. 93.30

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 15·80, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 396.00, Clary 40 zł. m. k. 156.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.—, Losy m. Krakowa 20 zł. 77.50. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 65.00, Ofen 40 zł. 168.00, Palffy 40 zł. m. k. 170.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 46.50, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 23·50, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 56.—, Salma 40 zł. m. k. 233.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 79.00, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 280.00, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 394.—.

Wiedeń 24 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 7·92—7·93, na wiosnę 8·36—8·37; żyto na jesień 7·03—7·04, na wiosnę 7·31—7·32; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·50—5·52, na maj-czerwiec 5·40—5·41; owies na jesień 6·90—6·91, na wiosnę 7·28—7·29. Rzepak na sierpień-wrzesień 00·00—00·00, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na styczeń-luty 0·00—0·00. Olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 0·00—0·00. Tendencya: spokojna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 24 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 7·76—7·77, na kwiecień 8·20—8·21; żyto na październik 6·67—6·68, na kwiecień 6·96—6·97; owies na październik 6·57—6.58, na kwiecień 6·87—6·88; kukurudza na wrzesień 5.12—5·14, na maj (1902) 5·11—5·12. Rzepak na 00·00—00·00. — Oferty na pszenicę: dostateczne. Chęć kupna: dobra. Tendencya: spokojna. Pogoda: piękna.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH

obowiązujący z dniem 1-go maja 1901 roku

(Czas środkowo-europejski).

Do Lwowa z:

(na dworzec główny)

Pociąg pośp. (przych. o godz.)	Pociąg osob. (przych. o godz.)	
12·15	—	Czerniowiec, Ickan, Jass, (Constancy, Bukaresztu)
2·31	—	Krakowa (Orłowa, N. Sącza, Jasła, Chabówki i Zakopanego, Berlina Wrocławia, Warszawy i Wiednia)
—	3·35	Podwołoczysk, Grzymałowa,
—	6·10	Krakowa (Berlina, Warszawy, Wiednia, Oświęcimia, Rymanowa, Sanoka, Chyrowa)
—	6·20	Czerniowiec, (Ickan. Suczawy, Czortkowa, Kałusza)
—	6·46	Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września włącznie)
—	7·45	Janowa
—	8·00	Tarnopola (Brodów)
—	8·10	Ławocznego (Chyrowa, Borysławia, Kałusza i Pesztu)
—	8·15	Sokala i Rawy ruskiej
—	8·50	Krakowa (Zagórza, Łupkowa, Przemyśla, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Orłowa od 15/6 do 15/9, Tarnowa, Pesztu)
—	11·45	Rzeszowa (Lubaczowa, Jarosławia, Sambora i Przemyśla)
—	11·55	Stanisławowa (Kerösmező, Potutor, Chodorowa)
—	12·55	Janowa
—	1·10	Skolego, Stryja, Kałusza, Chyrowa (z Ławocznego od 1 czerwca do 15 września)
1·25	—	Krakowa, Wiednia, Wrocławia. Berlina, Tarnowa, Rzeszowa, Rozwadowa, Przeworska, Sanoka, Chabówki i Zakopanego
1·45	—	Czerniowiec, Ickan, Bukaresztu, Galacu, Jass, Husiatyna i Stanisławowa
2·25	—	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Grzymałowa, Husiatyna, Tarnopola i Brodów
—	3·14	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)
—	4·40	Sambora, Borysławia, Drohobycza, Stryja
—	5·35	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Grzymałowa, Kozowy, Brodów)
—	5·40	Czerniowiec, Itzkan, Stanisławowa
—	5·50	Krakowa, Berlina, Wrocławia, Wiednia, Orłowa, N. Sącza, Tarnowa, Jasła i Rzeszowa
—	6·00	Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej
—	7·36	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)
8·40	—	Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Tarnowa, Lubaczowa, Sanoka, Przemyśla,
—	8·50	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września codziennie
—	9·00	Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
—	9·20	Czerniowiec, Ickan, Bukaresztu, Husiatyna, Potutor, Köresmező
—	9·41	Janowa (codziennie od 1 maja do 30 września)
—	9·50	Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Warszawy, Tarnowa, Jasła, Przeworska i Rozwadowa
—	10·20	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego.
—	10·50	Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Kałusza, Borysławia

(na dworzec „Podzamcze")

Pociąg pośp.	Pociąg osob.	
—	3·12	Podwołoczysk, Grzymałowa, Tarnopola,
—	7·40	Tarnopola i Brodów
2·26	—	Podwołoczysk. Kijowa, Odessy, Grzymałowa i Brodów
—	5·11	Podwołoczysk. Kijowa. Odessy, Zaleszczyk, Kopyczyniec, Podwysokiego i Brodów
—	10·02	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego.

Ze Lwowa do:

(z dworca głównego)

Odchodzą pośp.	Odchodzą osob.	
12·45	—	Krakowa, Rozwadowa, via Przeworsk, Jasła, Chabówki, Zakopanego, Orłowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina.
2·51	—	Ickan, Czerniowiec, Stanisławowa, Bukaresztu, Constancy
—	4·15	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Chyrowa, Sambora. Jasła, Stróż, Rozwadowa, via Dębica, Wieliczki.
—	5·45	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września codziennie)
—	6·25	Czerniowiec, Podwysokiego, Potutor,
—	6·30	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec
—	6·35	Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Borysławia
8·25	—	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Lubaczowa
—	8·40	Krakowa, Bogumina, Warszawy, Chyrowa, Przeworska, Rozwadowa, Stróż, Tarnowa, a od 15 czerwca do 15 września włącznie Sanoka, Rymanowa, Iwonicza i Jasła
—	9·00	Skolego, Chyrowa, Kałusza (do Ławocznego od 1 czerwca do 15 września)
—	9·15	Janowa
—	9·25	Podwołoczysk, Brodów, Grzymałowa, Kozowy
—	10·20	Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej
—	10·25	Czerniowiec, Stanisławowa, Potutor
—	1·25	Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
1·35	—	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Brodów) Kopyczyniec, Zaleszczyk. Skały, Iwania pustego, Grzymałowa
—	2·15	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)
2·40	—	Czerniowiec, Ickan, Stanisławowa, Husiatyna, Kerösmező
2·55	—	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina,
—	3·05	Stryja, Drohobycza, Borysławia, Sambora i Chyrowa (Skolego tylko od 1 maja do 30 września)
—	3·15	Janowa (codziennie od 1 maja do 15 września)
—	3·26	Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września)
—	3·30	Rzeszowa, Chyrowa, Przemyśla, Lubaczowa, Jarosławia
—	6·10	Stanisławowa
—	6·20	Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Warszawy, Orłowa (od 15 czerwca do 15 września), Chyrowa, Mező-Laborcza, Pesztu, Oświęcimia.
—	6·30	Janowa (od 1 maja do 15 września w dni powszednie, a od 16 września do 30 kwietnia 1902 codziennie)
—	6·35	Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Chyrowa, Kałusza
—	7·10	Tarnopola i Brodów
—	7·25	Sokala i Rawy ruskiej
—	7·52	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)
—	9·30	Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
—	10·30	Czerniowiec, Itzkan, Jass, Bukaresztu, Czortkowa, Bertometu, Seretu, Brodiny, Suczawy
—	11·00	Krakowa, Wiednia, Warszawy, Wrocławia, Rozwadowa, via Przeworsk, Rzeszowa, Orłowa, Chyrowa, Rymanowa, Iwonicza, Chabówki, Zakopanego i Wieliczki
—	11·10	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Grzymałowa.

(z dworca „Podzamcze")

Odchodzą pośp.	Odchodzą osob.	
—	6·48	Podwołoczysk, Brodów, Kijowa, Odessy, Kopyczyniec
—	9·42	Podwołoczysk, Kopyczyniec i Zaleszczyk,
2·03	—	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk Skały, Iwania pustego, Grzymałowa, Kijowa i Odessy
—	7·32	Tarnopola i Brodów
—	11·32	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Podwysokiego i Grzymałowa

Uwaga. Pora nocna jest oznaczoną ramkami. — Czas środkowo-europejski jest późniejszy o 36 minut od czasu lwowskiego. W mieście wydają bilety jazdy: Zwykłe bilety ajencya dzienników J. St. Sokołowskiego w Pasażu Hausmana l. 9 od 7mej rano do 8mej godziny wieczorem, zaś zwykłe i wszelkiego innego rodzaju bilety, taryfy, ilustrowane przewodniki, rozkłady jazdy itp. biuro informacyjne kolei państwowych (ul. Krasickich l. 5, w podwórzu, schody II, drzwi nr. 52) w godzinach urzędowych (8—3, w święta 9—12).

11)

Sprawa Blaireau

przez

ALFONSA ALLAIS

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

— A komu zawdzięczasz pan, że siedzisz teraz na wozie? Komu, jak nie mnie?

— Panu, panie prezesie?

— Ma się rozumieć, że mnie, bo gdybyś nie był uznany winnym, to nie zostałbyś uniewinnionym i niktby się tobą nie zajmował.

— To prawda.

— Dlatego pozwoliłem sobie wejść tu bez płacenia.

— Dobrześ pan zrobił, panie prezesie.

— Widzę, panie Blaireau, że nie zachowałeś do mnie urazy.

— Za co? Uznałeś mnie winnym, bo jesteś pan sędzią; gdybyś pan był adwokatem, ogłosiłbyś mnie za niewinnego... Każdy ma swoją specyalność. Na dowód, że się na pana nie gniewam, wypiję pańskie zdrowie. Niech żyje sądownictwo!

— Niech żyje niewinność! — odpowiedział toastem na toast prezes trybunału.

— Chodź-no pan tutaj! — zawołał nagle Blaireau, dostrzegając małego, niepokaźnego człowieczka. Był to Juliusz Fléchard.

— Czy to pan chciałeś koniecznie wejść do więzienia w chwili, gdy ja wychodziłem z niego?

— Pan Blaireau, zapewne?

— We własnej osobie.

— Miło mi pana poznać.

— Co prawda, żałuję, że mnie pan nie poznał wcześniej... A mogłeś mnie pan łatwo znaleźć... Przez trzy miesiące nie ruszyłem się z miejsca.

— Wolałem czekać na pogodę...

— Ha! Każdy ma swój gust. Wypijmy na zgodę.

Fléchard wyciągał już rękę po kieliszek, gdy ujrzał zbliżającą się Arabellę de Chaville.

— O! pani! — szepnął.

— Panie Fléchard! Juliuszu... — odszepnęła.

— Arabello! Jestem w rozpaczy. Kołatałem wszędzie, ale naprózno: nie chcą mnie uwięzić. Wierzaj mi, ukochana, że ponosiłem większe trudy, aby wejść do więzienia, niż gdybym miał z niego uciekać.

Ta rozmowa była prowadzona półgłosem i na uboczu.

— Słuchaj, Juliuszu — odparła zapłoniona Arabella — przez te kilka dni zastanowiłam się głębiej... najdroższy... wolę, abyśmy się już nie rozstawali...

Fléchard omal nie podskoczył z radości.

— Arabello! jesteś aniołem! — zawołał.

— A ty, Juliuszu, bohaterem.

— Będziemy szczęśliwi, ale kiedy?

— Wpierw muszę się uiścić z mego długu.

— Z jakiego?

— Z długu wobec społeczeństwa.

— Mniejsza o to — mam przeczucie, że to się ułoży.

Przechodził p. Lerechigneux.

— Prawda, panie prezesie, że ta sprawa się załatwi? — rzekła Arabella.

— W zasadzie wszystkie sprawy się załatwiają. Ale o jaką sprawę pani chodzi?

— O sprawę p. Fléchard, winowajcy w sprawie Blaireau.

— P. Fléchard ma prawo do pobłażliwości trybunału. Kara została już wymierzona i odbyta. Sąd weźmie to pod uwagę i poprzestanie na wyznaczeniu kary pieniężnej, coś około 16 franków.

— Dziękuję panu! — zawołała Arabella. — Pańskie słowa wlewają mi balsam do serca.

ROZDZIAŁ XXII,

w którym dyrektor więzienia w Montpaillard okazuje się wiernym swej zasadzie: używania więźniów do tych zajęć, które sprawowali na wolności.

Tymczasem Blaireau był najgorliwszym konsumentem. Mówił wciąż do „szynkareczek“:

— Zapisujcie moje „łyki“, zapłacę za wszystko wieczorem, po wzięciu dochodu z festynu.

— Hola! panie Bluette! — zawołał, zbliżając się do dyrektora — nie poznajesz pan swoich pensyonarzy?

— Istotnie, w pierwszej chwili nie poznałem. Toś się wyelegantował!

— Dziękuję panu dyrektorowi za przybycie na mój festyn; to bardzo uprzejmie z pańskiej strony.

— Ja, który cię widziałem w poniewierce, pragnąłem cię ujrzeć wśród blasku i honorów. To też pozwoliłem sobie wejść bezpłatnie.

— Bardzo słusznie, panie Bluette. — Tegoby tylko brakowało, żebyś pan płacił. Przecież nie wziąłeś ode mnie ani pół solda za cały czas mojego przebywania w pańskim zakładzie.

— To prawda. Przytem dwu moich pensyonarzy prosiło mnie o łaskę, której nie mogłem im odmówić. Czekają za furtką.

— Przyprowadziłeś pan tutaj dwu więźniów! — rzekł baron de Hauptpertuis zaniepokojony.

— Dwu bardzo miłych chłopców, Festona i Durenforta.

— Znam ich — wtrącił Blaireau — dobrzy koledzy.

— Pan baron udzieli im może jednej z budek, aby się mogli popisać swojemi sztukami?

— Jakież to są sztuki?

— Jeden gra na trąbie, a drugi zjada żywe króliki.

— Żywe króliki! To okropne! — zawołała jedna z szynkareczek.

— To rzecz przyzwyczajenia — objaśnił ją pan Bluette.

— Dla pańskich sztukmistrzów, ale nie dla królików.

— Za co ci sztukmistrze zostali skazani? — pytał baron.

— Trębacz za pożyczenie wśród nocy królika, a tamten za zjedzenie go.

— Tak, przypominam sobie — wtrącił prezes trybunału — podciągnąłem przestępstwo ostatniego pod kategoryę przechowywania rzeczy ukradzionych.

— Bardzo dowcipnie. Możecie wejść przyjaciele.

— Kieliszek szampana — częstował Blaireau.

— Tego się nie odmawia.

— Ten poczciwy Feston! Ten poczciwy Durenfort!

— Ten kochany Blaireau!

ROZDZIAŁ XXIII,

w którym Blaireau buduje piękne nadzieje, obalone twardą ręką rzeczywistości.

Autor do ostatniej chwili zwlekał z wyjaśnieniem smutnego faktu, ale nie może ukrywać go dłużej.

Blaireau jest teraz pijaniuteńki; początkowo objawiało się to miłą jowialnością, teraz objawy graniczą ze złem wychowaniem i familiarnością niemożliwą.

Blaireau klepie po ramieniu przedstawicieli najwyższej władzy w Montpaillard i arystokracyi okolicznej.

Jest rozpromieniony: za chwilę do jego kieszeni wleją się setki, ba! tysiące franków.

Park Chaville roi się od gości. Całe Montpaillard wyległo.

Po pięć franków od osoby. Będzie dochód wspaniały!

Blaireau namyśla się już, co zrobi z tymi pieniędzmi! Chyba założy kawiarnię, albo lepiej szynk.

To myśl wyborna.

— Słuchaj-no, papo Dubenoît, co powiesz, jeśli założę szynk w Montpaillard?

— Powiem to tylko, że ów zakład nie będzie długo otwartym.

— A któż go zamknie?

— Ja, mój drogi.

— Gdybyś to zrobił, papo Dubenoît, kazałbym się obrać merem na twoje miejsce

Baron de Hautpertuis, słysząc to, śmiał się serdecznie.

— Blaireau — merem. Toby dopiero Montpaillard przechodziło kryzysy!

— Caronie — jęczy Dubenoît — dożyliśmy czasów okropnych.

— Tego nie powiem. Bawimy się doskonale, a to grunt.

— Baron nie głupi, ślicznie powiedział — woła Blaireau. — Dziś używajmy, co wlezie, jutro będzie czas na rzeczy poważne. Swoją drogą, chciałbym wiedzieć, ile mój dochód wynosi w tej chwili?

— Obliczymy to wieczorem, po zamknięciu festynu.

— Wolałbym wiedzieć teraz.

— Nic łatwiejszego. Parju! przelicz pieniądze w kasie.

— Nie ma co liczyć, baronie.

— Jakto?

— W kasie nie ma ani solda.

— Ani solda! co to znaczy? — woła Blaireau, otrzeźwiawszy odrazu.

(Dokończenie nastąpi).

L. 508.

W Zakładzie sierot i ubogich Fundacyi Stanisława Hr. Skarbka w Drohowyżu jest wolną

posada kierownika

ośmiu warsztatów z poborami 2.000 koron rocznej płacy, odpowiedniem pomieszkaniem, ogrodem i opałem.

Po roku zadowalającej pracy może nastąpić stabilizacya z prawem do pięciolеci i emerytury.

Od kandydata wymaga się technicznego wykształcenia tak teoretycznego jak i praktycznego.

Podania należycie udokumentowane z curriculum vitae wnosić należy do Kuratoryi Fundacyi na ręce Dyrekcyi w Drohowyżu poczta Mikołajów nad Dniestrem najdalej do 1 grudnia br.

W Drohowyżu, 18 września 1901.

Stepek.

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.